

Włodzimierz Antkowiak ZIELONE SKAŁY

Od Parsk, wsi sąsiadującej od północy z Grudziądzem, gdzie kończyła się trasa podmiejskiego autobusu, mężczyzna szedł wałem przeciwpowodziowym, mając po prawej ręce pola obsadzone ziemniakami i tytoniem, obsiane kukurydzą, po lewej nadbrzeżne łąki z resztkami wiszącej nad nimi mgły, z kępami wikliny i płytkimi rozlewiskami, które w tej okolicy nazywano łachami i w których wiosną łowiło się szczupaki „na blachę”. Teraz, po paru tygodniach suszy i upałów, łachy były zielonobrzazowe, przykryte liśćmi podsychających nenufarów, z rzadkimi lusterkami wody. Ledwo rzucił na nie okiem, pamiętał, że o tej porze roku nie warto poświęcać im uwagi. Szczupaki, które w nich zostały po tarle, po wiosennej powodzi, były już dawno wyłowione do ostatniego przez spinningistów.

Dochodziła ósma, przymglone słońce jeszcze nie grzało ostro i rzadko uczęszczana, zarośnięta ścieżka na wale była mokra od rosy. Ale mężczyzna miał mocne trekkingowe buty, wodoodporne i dobrze rozchodzone, stopy zachował suche i – mimo pięćdziesiątki na karku i piętnastu kilogramów na plecach – całkiem lekko mu się szło. Zamierzał w ciągu kilkunastu dni dojść do Gdańska, idąc bez pośpiechu wschodnim brzegiem Wisły, łowiąc ryby i rozbijając biwaki w miejscach, które mu się spodobają.

Resztki mgły podniosły się, kiedy dochodził do mostu na Osie. Rzeka pieniała się na kamieniach w przewężeniu pod mostem, dalej rozlewała się w błotnistym korycie i płynęła leniwie, chyba w żadnym miejscu nie przekraczając głębokości jednego metra na tym dwustu czy trzystumetrowym odcinku do ujścia. Miał teraz dwie opcje: pójść prawym brzegiem Osy, dojść do ujścia i iść dalej na północ brzegiem Wisły, trzy kilometry trudnego terenu u podnóża podmywanej przez rzekę skarpy Łosiowych Wzgórz, mógł też przejść morenę górą, cztery kilometry łatwą, piaszczystą drogą przez las.

Droga wiodąca podnóżem skarpy stwarzała możliwość ugaszenia pragnienia bez naruszania własnych zasobów, bo w paru miejscach ze zbrocza sączyły się źródła; na drodze górą, przez las, nie było wody, ale w jednym miejscu, jak pamiętał, zachowały się resztki starego sadu, pozostałość istniejącego tu niegdyś gospodarstwa, co mogło dać szansę zdobycia zapasu owoców. Wybrał drogę górą.

W miejscu, w którym zanikało wypiętrzenie Łosiowych Wzgórz i północny skraj porośniętej lasem moreny łagodnie przechodził w nadbrzeżne łąki, zaczynał się stary, budowany jeszcze przez Krzyżaków, wielokrotnie naprawiany i podwyższany wał przeciwpowodziowy, ciągnący się nieprzerwanie przez prawie sto kilometrów aż do ujścia Wisły, zabezpieczający prawobrzeżne wioski przed zalaniem. Między wałem a brzegiem rzeki rozciągał się teren zalewowy z kępami wiklin i rozsianymi co kilkadziesiąt metrów wypełnionymi wodą obniżeniami starorzecza.

Mężczyzna szedł brzegiem rzeki, po łące, wypatrując ponad wiklinami znaków wodnych, wytyczających szlak żeglugowy. Główny nurt rzeki meandrował między płycznami, nieustannie przenosił się spod jednego brzegu pod drugi, zmuszając sterników większych jednostek, jachtów i rzadko już teraz pojawiających się na szlaku wodnym holowników, pchaczy i barek, do zachowywania maksymalnej czujności, jeśli nie chcieli utknąć dziobami w piaszczystych mieliznach. Dostrzegł dwa znaki na prawym brzegu, pierwszy między główkami, czerwony kwadrat umieszczony wysoko na pomalowanej na biało

żerdzi, a kilkadziesiąt metrów dalej krzyż, dwie przecinające się pod kątem prostym żółte deszczułki, ustawione w pionie i w poziomie. Nurt biegł tu przy wschodnim brzegu, od czerwonego kwadratu do żółtego krzyża, skąd po skosie odbijał znów na zachód.

Mężczyzna zatrzymał się w połowie tego odcinka i przyjrzał się rzece, która płynęła trzy metry niżej. Główny nurt był szybki, ale między kamiennymi główkami, osłaniany przez nie, znajdował się obszar spokojnej, leniwie krążącej wody, dogodny do połowu ryb spokojnego żeru; przy samym brzegu była cofka, a bliżej południowej ostrogi wyłaniała się z wody rozległa piaszczysta mielizna, skąd dałoby się sięgnąć obciążoną łożem wędką skraju nurtu poza szczytami ostróg. Mężczyzna odwrócił się i popatrzył w stronę wału, od którego oddzielało go długie, wypełnione wodą starorzecze. Przyjrzał się łące: nie było śladów zwierząt, nie wypasano tu bydła. Miejsce było dogodne na obóz, osłonięte z tyłu rozlewiskiem i z dobrym dojściem do rzeki, a bliskość nurtu stwarzała szansę złowienia większych ryb, które teraz, po wielu tygodniach katastrofalnej suszy, trzymały się „fartu”, jak w tych stronach nazywano główne, głębokie koryto rzeki.

Kilkadziesiąt minut później nad brzegiem stał osłonięty tentem namiot, część potrzebnego sprzętu z plecaka była wypakowana i ułożona tak, aby można było łatwo po niego sięgnąć, a owoce zebrane w sadzie na morenie – dwa rodzaje gruszek, garść pomarszczonych węgierki i trochę „psich” jabłek, a także dwie wielkie, znalezione w lesie kanie – leżały rozłożone w cieniu pod tentem z tyłu namiotu. Mężczyzna wypił trochę wody i przyjrzał się bidonowi: zostało w nim najwyżej pół litra. Z czterech podstawowych potrzeb, o które musiał zadbać – woda, schronienie, ogień i żywność – miał zapewnione trzy: schronienie dawały namiot i tent, wiosenna powódź pozostawiła nad brzegiem obfitość wysuszonego na wiór drewna na ognisko, a skromny zapas suchego prowiantu, który niósł w plecaku, mógł uzupełniać tym, co dadzą rzeka, łąka i las.

Była połowa września, słońce stało w zenicie, do zmroku pozostawało pięć czy sześć godzin upału. Mężczyzna przez chwilę zastanawiał się, patrząc w kierunku moreny. W młodości kilkakrotnie przeszedł cały trzykilometrowy odcinek skarpy, spinningując. Było to dobre miejsce na ryby, bo wędkarze rzadko tu zaglądali, drapieżniki były nieprzepłószone i zazwyczaj wracał z łupem. Było też dobre dlatego, że w paru miejscach ze zbocza sączyła się woda (fluwialiści badający stosunki wodne doliny dolnej Wisły opisywali te miejsca jako wycieki i wysięki), a w jednym miejscu biło ze skarpy obfite źródło, które nawet w największe upały pozwalało ugasić pragnienie. Ale źródło znajdowało się w odległości około kilometra od obozowiska, dotarcie do niego i powrót musiałyby zająć przynajmniej pół godziny, a miejsca, gdzie woda ledwo się sączyła, były teraz w najlepszym razie tylko błotnistymi kałużami, w których taplały się dziki.

Mężczyzna wydobyl z plecaka litrowe naczynie od kochera i ruszył w stronę starorzecza, rozciągającego się między rzeką a wałem. Otaczający starorzecze muł w wyższej części obniżenia był wyschnięty i popękany, miał popielaty kolor, a niżej, bliżej wody, stawał się coraz bardziej grząski i wysysający. Mężczyzna zdjął buty i podwinął nogawki spodni ponad kolana, aby móc dotrzeć do lustra wody. Kiedy napełniał naczynie, dostrzegł raka pełzającego po dnie. Woda była niezabrudzona i przejrzysta, nie wymagała filtrowania, wystarczało przegotować ją przed spożyciem.

W rzadkim mule, tuż powyżej lustra wody, było coś jeszcze. W regularnych odstępach wystawały na kilkanaście centymetrów ponad powierzchnię błota jakieś kołki, spękane, wysuszone kawałki drewna, siwe od zaschniętego szlamu. Mężczyzna wyniósł naczynie na trawę, wrócił do obniżenia i począł grzebać w mule przy kołkach. Sięgały głęboko i kiedy wsunął ramię prawie do barku, w paru miejscach namacał poziomą deskę, która

utrzymywała drewno w regularnych odstępach. To, co sterczało z błota, nie było gałęziami czy konarami drzewa przywleczonego przez powódź, to były wręgi.

Chwilę później znalazł skarb.

Profesor Piotr Mamiński wymknął się z auli w momencie, kiedy wybrzmiewały ostatnie tony starego hymnu studenckiego *Gaudeamus igitur*, odśpiewanego przez chór uniwersytecki. Tyle razy uczestniczył już w inauguracji roku akademickiego, tyle razy słuchał tej pieśni, z tym przygnębiającym, dwukrotnie powtórzonym dla wzmocnienia przekazu przesłaniem: „nos habebit humus, nos habebit humus” („posiądzie nas ziemia, posiądzie nas ziemia”), przetrwał tyle przemówień rektorów i tyle razy obserwował uroczystość wręczania indeksów pierwszorocznikom, że raz mógł sobie pozwolić na wyjście po angielsku. Szczerze mówiąc, z trudem doczekał chwili, kiedy będzie mógł wskoczyć do samochodu i wrócić z Oliwy na Bielańską, w zacisze gabinetu, do instytutu. Intrygował go mail, który przyszedł rano i na który zdążył tylko rzucić okiem. Jeśli nie była to mistyfikacja, mogło zanosić się na sensację. Dawaly do myślenia nie tylko tytuł maila („X w.”) i jego treść („Dotyczy *Visla saga*.”), ale też trzy zdjęcia o wysokiej rozdzielczości w załączniku: jakiś wysychający zbiornik wodny z podanymi w podpisie współrzędnymi, zbliżenie fragmentu mułu z wyłaniającymi się z błota błyszczącymi w słońcu monetami, i w końcu trzecie zdjęcie, najciekawsze w kolekcji. Przedstawiało świetnie zachowaną złotą monetę, sfotografowaną z jednej strony, na awersie profil mężczyzny i doskonale widoczna inskrypcja otokowa: MISICO DUX. Rewers pozostawał zagadką. Mail nie był podpisany.

Profesor Mamiński był archeologiem, interesowało go wczesne średniowiecze, ale ostatnie lata nie sprzyjały prowadzeniu kosztownych wykopalisk, toteż z konieczności trochę się przebranżowił. X-XI wiek, początki państwa polskiego, czasy pierwszych Piastów, stanowiące główny temat jego naukowych zainteresowań, były też erą wzmożonej ekspansji wikingów, nie tylko zbójczej, a ich bezdyskusyjna obecność w służbie polskich władców stanowiła dobry powód do nawiązania kontaktów ze Skandynawami. Owocowało to paroma koleżeńskimi zaproszeniami, paroma wizytami na stanowiskach archeologicznych w Szwecji, na Grenlandii i na Wyspach Owczych, i choć nie uczestniczył w wykopaliskach bezpośrednio, zainspirowały go opowieści sagamadrów, także dlatego, że pozwalały w szerszym kontekście spojrzeć na dzieje Słowiańszczyzny. Sagi zaczęto spisywać dopiero w XIII wieku, ale najstarsze pochodziły z wieków znacznie wcześniejszych, przetrwały w wersji mówionej i sięgały daleko w głąb czasu. Można było tylko żałować, że Słowianie nie pozostawili po sobie takiej tradycji.

Pierwsza książka, którą napisał, owoc jego nowych fascynacji, nosiła tytuł *Ameryka wikingów* i dotyczyła spraw skandynawskich. Oparta została na dwóch rodzajach źródeł: na sagach winlandzkich – *Sadze o Grenladczykach* i *Sadze o Eryku Rudym* – opisujących nordycką kolonizację Islandii i Grenlandii, odkrycie Ameryki Północnej przez Leifa Erikssona, prawie pięć wieków przed Kolumbem, oraz na dokonywanych przez Skandynawów od 1960 roku archeologicznych odkryciach rudymentów nordyckich osiedli na północno-wschodnim wybrzeżu Ameryki, głównie na Nowej Fundlandii. Była to książka napisana przez historyka, ukazała się w niewielkim nakładzie po polsku i przeszła niezauważona zarówno w Skandynawii, co było zrozumiałe, ale też wśród polskich medie-

wistów, którym geograficzne odkrycia Eryka Rudego, Gunnbjörna Ulfssona czy Leifa Erikssona były obojętne, nie wносиły niczego do dziejów Słowiańszczyzny.

Z drugą książką było inaczej. *Mieszko Pierwszy Wiking*, publikacja, która ukazała się dwa lata po *Ameryce wikingów*, zagotowała środowisko. Problem etnogenezy Słowian, w tym pochodzenie Mieszka, tajemniczego księcia, który nieoczekiwanie wynurzył się z otchłani wieków, stworzył silne państwo i dał początek dynastii, która już w drugim pokoleniu wyniosła je do rangi królestwa, od lat dzielił historyków na dwa wielkie obozy, zwane autochtonistami i allochtonistami. Pierwsi, których patronem był profesor Józef Kostrzewski, słynny badacz Biskupina, twierdzili, że Słowianie żyli na ziemiach środkowej Europy od zamierzchłych czasów, od tysiącleci, drudzy, z grupą badaczy z Uniwersytetu Rzeszowskiego na czele, uważali, że początek ludom słowiańskim dało, tysiące lat później, jakieś niewielkie obce plemię, którego siedziby znajdowały się w dorzeczu Dniepru i Prypeci, na ziemiach dzisiejszej Ukrainy. Plemię to, według allochtonistów, w V wieku gwałtownie zaczęło się rozmnażać i ruszyło na zachód i południe Europy, zalewając ziemie dotknięte „pustką osadniczą”. Oba stronnictwa okopały się na przyjętych pozycjach i już prawie nie rozmawiały z sobą, ba – coraz częściej zachowywały się wobec siebie jak dwie wrogie partie, walczące na wyniszczenie. To była prawdziwa „wojna agrarna” uczonych – kto kogo do piachu. Kiedy w 2000 roku w Polskiej Akademii Nauk zorganizowano „okrągły stół” przedstawicieli obu obozów, część zaproszonych prelegentów od razu odmówiła udziału w konferencji, a ci, którzy przybyli, nie zgadzali się na publikowanie swoich referatów wspólnie z referatami przeciwników.

W momencie, kiedy ukazała się książka profesora Mamińskiego *Mieszko Pierwszy Wiking*, górę zdecydowanie brali autochtoniści, którym w sukurs przyszli genetycy i antropolodzy. Liczne analizy szczątków szkieletowych, a także DNA, pozyskane z kości ludów zamieszkujących te ziemie przed wiekami i tysiącletiami, wykazały, że było ono identyczne z genami Słowian współczesnych. Ci, którzy mieszkali tu od zamierzchłych czasów, mówili wprawdzie innymi językami, mieli inną kulturę, nazywali się inaczej, czasem byli podbijani, niekiedy przejmowali język i wierzenia najeźdźców, mieszały się z obcymi, ale przetrwali w swej masie i przechowali podstawową bazę genetyczną. Pierwsze informacje o „Sklawenach”, którzy *rozsiedli się, poczynając od źródeł rzeki Wisła, na niezmiernych obszarach*, pochodzą wprawdzie dopiero z połowy VI wieku, z czasów bizantyjskiego cesarza Justyniana, ale ludy, z których wywodzą się Słowianie, były nad Wisłą już w epoce brązu, nawet tysiące lat przed naszą erą. Genetycy i antropolodzy dowiedli, że współcześni Słowianie są w prostej linii ich potomkami. Geny były uparte, z genami nie było dyskusji i trzeba było przyjąć do wiadomości fakt *istnienia na ziemiach polskich ciągłości pewnych linii genetycznych od okresu rzymskiego do współczesności*. Pojęcie „Słowianin” nie miało charakteru genetycznego, ale wyłącznie językoznawczy.

Profesor Mamiński swą książką rozsierdził obydwie obozy, nie tylko dlatego, że nie poparł żadnej ze stron, nonszalancko pomijając te kwestie milczeniem. Zresztą sam fakt, że archeolog wtrącił się do dyskusji historyków, arogancko wszedł na ich teren i zachowywał się jak równy wśród równych, rozeźlił środowisko. Profesor poważił się interpretować nieliczne zachowane źródła pisane, kronikę Galla Anonima, dokument *Dagome ludex*, pomocne przy ustalaniu daty chrztu Polski tablice paschalne z klasztoru w Korweji i tak dalej, nad którymi od lat pracowali i o które spierali się historycy, co więcej – oparł swoją pracę także na tekstach skandynawskich, na jakichś *Eiriks saga rauda, Islendingabok, Graenlendinga saga*, źródłach niepewnych, właściwie mitycznych i prak-

tycznie nieznanymi mediewistom. Profesor wyjaśniał, że istnieje wiele typów sag, i zapewniał, że te, na których się oparł, były suchymi, rzeczowymi opisami wydarzeń historycznych. Nie powstawały wprawdzie jako z góry pomyślane dzieła historyczne, jednakże były dziełami historycznymi w najściślejszym sensie tego słowa, opisywały bowiem czyny jednostek, a te składają się przecież na prawdziwe dzieje narodów i ludów. Historyków nie przekonał, ale jego książka nieoczekiwanie stała się bestsellerem czytelnictwem i – podobnie jak parę lat wcześniej przydarzyło się to monumentalnej monografii dr. Rafała Kubickiego *Młynarstwo w państwie zakonu krzyżackiego w Prusach w XIII-XV wieku (do 1454 r.)* – rozeszła się błyskawicznie, a dodruki pozwoliły nieźle zarobić zarówno wydawnictwu uniwersyteckiemu, jak i autorowi.

A teraz z okna swojego gabinetu na Bielańskiej, ocienionego pnączami dzikiego wina, czerwieniejącego już pod jesień, profesor patrzył na leniwy nurt Kanału Raduni, toczący mętną wodę w stronę Wielkiego Młyna, kościoła św. Katarzyny i dalej, do nieodległego ujścia w Motławie. Liście zasłaniały znaczną część okna i ograniczały widoczność, toteż jeśli się nie wychylał, mógł zobaczyć tylko witrynę księgarni Na Piaskach po drugiej stronie kanału i wolno płynącą wodę. Ale ten spokojny widok wystarczał, uspokajał emocje i pozwalał chłodno ocenić sytuację.

Profesor wrócił do biurka, poruszył myszką i ciemny pulpit komputera zmartwychwstał, rozblysnął złotem. Moneta. Otoczka perełkowa, w otoku MISICO DUX. Książę Mieszko. Tylko awers, choć to z pewnością nie był brakteat, cienka, jednostronnie bita blaszka. Coś tu się nie zgadzało. Profesor wszedł w Google, wstukał: „Monety pierwszych Piastów, okres denarowy”, kliknął na „Awersy i rewersy na monetach pierwszych Piastów”. Zdjęcia monet były wyraźne, kolorowe i mógł je powiększyć. Denar królewski Bolesława Śmiałego miał w awersie profil głowy króla w koronie, zupełnie nieprzypominający tego, co widniało na pulpicie komputera. Przeglądał dalej. „Pierwsze monety polskie”, „Od denara do grosza”, „Spór o pierwszy polski pieniądz”. Nic. Zresztą wszystko to były monety bite w srebrze. Było coś jeszcze – w starszej literaturze przedmiotu za najstarszy polski pieniądz uchodził srebrny denar Mieszka I, obecnie coraz więcej uczonych przypisywało go wnukowi księcia, Mieszkowi II, pierwszą polską emisję pieniądza wiążąc z rządami Bolesława Chrobrego i przyznając starszeństwo denarowi „Princes Polonie”, datowanemu na przełom tysiącleci i bitemu w srebrze z okazji Zjazdu Gnieźnieńskiego.

Profesor wrócił do maila. Trzy zdjęcia. Oprócz tego z monetą był jeszcze jakiś wysychający zbiornik wodny, rozlewisko, pewnie starorzecze, wał przeciwpowodziowy w tle, w podpisie współrzędne, bardzo dokładne. I zbliżenie brzegu bagna, monety wyłaniające się z mułu. To raczej nie był mały skarb sakiewkowy, było tego więcej, większość chyba tkwiła w mule.

Zastanawiała go treść wiadomości: „Dotyczy *Visla saga*”. Wymienił tytuł tej sagi dwukrotnie w *Mieszku Pierwszym Wikingu* – w bibliografii i w przypisie, w rozdziale dotyczącym piractwa. I nigdy więcej. To była jednoźródłowa, nieweryfikowalna informacja, znana tylko z późniejszych odpisów, być może źle przetłumaczona ze staronorweskiego oryginału, który zaginął. Pierwszoplanową postacią *Visla saga* był jakiś Thorbrand Snorrisson, który wraz z paroma towarzyszami z drużyny książęcej miał zrabować całą emisję złotych denarów Mieszka. Rabusie zostali zaatakowani przez Pomorzanie, kiedy spływali Wisłą, ich uszkodzony statek rozbił się i zatonął z całym złotem, załogę zaś pochwytili Pomorzanie i po paru dniach odsprzedali jeńców „z wielkim zyskiem” wysłannikom Mieszka, który koniecznie chciał dostać ich żywych. Ocalał tylko Thorbrand, który kilka dni przesiedział po szyję w bagnie, a po jakimś czasie ukradł małe czółno, pewnie

dłubankę, i dotarł na nim do wysp duńskich, gdzie wystawił je na widok publiczny, aby wszyscy mogli je oglądać i podziwiać jego wyczyn. *A było to czółno bardzo krótkie, które dwóch mężczyzn nieść mogło z łatwością* – pisał sagamadra. – *Na spokojnej rzece, sterowane drągiem, mogło unieść ledwie jedną osobę.*

Opowieść była ciekawa, profesor umieścił ją w przypisie książki, ale nie eksponował specjalnie, musiała należeć do gatunku czystej fikcji, podobnie jak liczne opowiadania mitologiczne sagamadrów, kroniki rodzinne czy niezwykle upiększane przez nich żywoty królów. Opowieść o złotych denarach Mieszka musiała być wytworem fikcji także dlatego, że Piastowie ewidentnie nie posiadali złota, świętopietrze płacili Watykanowi złotym piaskiem, który kupowali na Dolnym Śląsku, gdzie go wówczas nie brakowało, albo wieźli do Wenecji beczki pełne srebrnych denarów i tam wymieniali je na złoto.

Profesor patrzył teraz na zdjęcie monety na ekranie komputera. MISICO DUX. Dziesiąty wiek. *Visla saga...* Wszedł w Google, wprowadził współrzędne widniejące w podpisie pierwszego zdjęcia, tego z bagnem: N53.607076, E18.767796. Pokazał się punkt nad Wisłą, na wschodnim brzegu. Obejrzał zdjęcie satelitarne. Rozlewisko, jedno z wielu. Po drugiej stronie wału była wieś Rusinowo. To było już województwo pomorskie, jego południowe krańce. Rozlewiska na wschodnim brzegu, między rzeką a wałem, ciągnęły się jedno za drugim prawie aż do Kwidzyna. Satelita chyba fotografował teren wiosną, bo zieleń była świeża, a starorzecza wypełnione wodą. To, które wskazywały współrzędne, było jednym z mniejszych, miało kształt półksiężyca.

Na uwagę zasługiwał fakt znajomości książki profesora przez anonimowego nadawcę maila. To mówiło coś o nim. Musiał ją czytać, wiedzę o istnieniu sagi o Thorbrandzie mógł posiadać tylko z lektury *Mieszka Pierwszego Wikinga*. Mógł to być nawet ktoś z branży, ze świata nauki, choć oczywiście niekoniecznie, wydawniczy sukces zapewнили książce „zwykli” czytelnicy, miłośnicy historii, których zainteresowanie tematem generowało dodruki. Zagadka początków państwa polskiego, zbójcka legenda wikingów, to były nośne tematy, takie książki zawsze miały potencjał na rynku czytelnicznym.

Profesor wyszedł z Google i wrócił do maila. Nie liczył na wiele, kiedy wciskał Reply i pisał: „Dziękuję Pani/Panu za bardzo cenną informację! Czy zdaniem Pani/Pana potrzebne są badania ratownicze?”. Kliknął na Send, poszło.

Zaskoczyła go niemal natychmiastowa odpowiedź. Ten ktoś, ona czy on, albo właśnie siedział przy komputerze, albo też odebrał wiadomość na smartfonie.

„Konieczne i pilne” – brzmiała treść odpowiedzi.

Trzeba było kuć żelazo, póki gorące. Profesor szybko wpisał następne pytanie: „Czy znaleziono coś jeszcze, co może potwierdzać identyfikację i datowanie znaleziska?”.

Wcisnął Send, mail poszedł. Czekał minutę, dwie. Odpowiedź przyszła w trzeciej.

„Znaleziono steatyt z runicznymi znakami. Napis udało się odczytać: *Kvinner er som dyr.*”

Palce profesora znieruchomiały nad klawiaturą w połowie wstukiwanego kolejnego pytania. To był dowcip! Kilka lat temu profesor usłyszał tę anegdotę na kongresie w Reykjavíku z ust jakiegoś islandzkiego archeologa, wygłaszającego referat o runach rytich w steatycie, twardej skale metamorficznej, zwanej też słońcem. Jakiś czas później profesor żartobliwie przytoczył tę anegdotę na konferencji w Gdańsku, zaznaczając, że gdyby dziś islandzki żartowniś pozwolił sobie publicznie na podobny dowcip, zostałby żywcem zjedzony przez feministki. *Kvinner er som dyr* w języku staronorweskim znaczyło bowiem: „Kobiety są zwierzętami”.

Po chwili dotarło do niego, że odpowiedź, którą otrzymał od nieznanego korespondenta czy korespondentki, nie była dowcipem, w każdym razie nie w takiej intencji została przekazana. To była informacja. Korespondent (czy korespondentka) albo bezpośrednio uczestniczył w konferencji w Gdańsku i dokładnie zapamiętał ten staronorweski cytat, albo miał kontakt z kimś, kto brał w niej udział i potem powtórzył gdzieś najciekawszy fragment wystąpienia profesora. Korespondent był człowiekiem nauki i tę informację chciał przekazać profesorowi. Jego odpowiedź znaczyła: jeśli cię informuję, że chodzi o dziesiąty wiek i że miejsce ma związek z *Visla saga*, to traktuj moje słowa poważnie, bo wiem, o czym mówię.

Profesor skasował to, co zdążył wstukać do Reply i wpisał nowe pytanie: „Szanowna Koleżanko/Szanowny Kolego! Czy mogę zobaczyć rewers monety?”. Kliknął na Send i czekał.

Minuta, dwie. Pięć. Nic. Wstał od biurka, stanął przy oknie i patrzył na leniwy nurt Kanału Raduni, niosący mętną wodę do nieodległego ujścia koło Muzeum II Wojny. Wrócił do komputera, sprawdził godzinę wysłania maila. Dziesięć minut. I nic. Nie będzie odpowiedzi. Od początku przeczuwał, że brak zdjęcia rewersu monety przy pierwszej wiadomości nie był przypadkowy, kryła się za tym tajemnica.

Dochodziło południe, do zmroku pozostawało jeszcze jakieś pięć czy sześć godzin dobrego światła. Wystarczy na dojazd i rekonesans w terenie. Szybko podjął decyzję. Wszedł w Google, prześledził proponowane trasy dojazdu, wybrał opcję przez Orunię, drogą 91 do mostu w Kwidzynie i potem lokalną drogą 588 po wschodniej stronie Wisły do Rusinowa, sto czternaście kilometrów, półtorej godziny jazdy. Od centrum wioski do wału, za którym znajdowało się starorzecze, było około stu pięćdziesięciu metrów niezabudowanego obszaru, pewnie pole albo łąka. Wydrukował sobie mapkę obejmującą fragment wsi i rozlewisko za wałem, potem zdjęcie satelitarne, żeby nie błędzić w terenie. Zamknął komputer, wrzucił do plecaczka aparat fotograficzny i butelkę wody, w bagażniku samochodu miał stare spodnie, koszulę i gumowe buty, które woził zawsze, aby być gotowym na takie okazje jak ta. Korytarze instytutu były puste, kiedy szedł do wyjścia, nikt jeszcze nie wrócił z uroczystości w Oliwie. Zostawił w sekretariacie wiadomość, że wyjeżdża i prawie pobiegł na parking.

Przesyłka, gruba bąbelkowa koperta formatu A5, dotarła do Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w Warszawie w piątkowe południe, dwudziestego trzeciego grudnia, dzień przed wigilią Bożego Narodzenia. Adresowana była bezpośrednio do ministra. W urzędzie składano sobie życzenia i łamano się opłatkiem, w gabinecie ministra dyrektorzy i wicedyrektorzy departamentów przy lampce koniaku i kawie składali życzenia szefowi, jego dwojgu zastępcom i generalnej konserwator zabytków, też w randze podsekretarza stanu. Na blacie biurka ministra leżało kilkanaście dopiero co otwartych kopert z prywatnymi życzeniami świątecznymi i prezentami od przypominających się artystów o znanych nazwiskach – świeżo wydanymi płytami, grafikami i książkami.

Pozostałe przesyłki, które nadeszły tego dnia, dotyczące spraw urzędowych albo podpisane nazwiskami artystów mało znanych lub zupełnie nieznanymi szefowej sekretariatu, a także te z oficjalnymi, tradycyjnymi życzeniami od związków i stowarzyszeń twórczych, od dyrektorów teatrów, muzeów i innych instytucji kultury, finansowanych z budżetu, przeleżały nieotwarte przez wigilię i Boże Narodzenie na bocznym stoliku w kącie

sekretariatu. Dwudziestego siódmego grudnia, po świętach, urzędniczka sortująca korespondencję zdażyła je do jedenastej pootwierać i przejrzeć, i parę minut później kilkanaście wybranych trafiło na biurko ministra. Znajdowała się wśród nich bąbelkowa koperta, zawierająca parę zdjęć, plik kserokopii i zaskakująco ciężki woreczek strunowy z czterema błyszczącymi, zachowanymi w kolekcjonerskim stanie złotymi monetami. Monety złożone były po dwie i sklejone taśmą przylepną. Przylegały do siebie rewersami, a na awersach, widocznych po zewnętrznych stronach każdej z par, można było zobaczyć profil mężczyzny i ułożony w otoku monet napis: MISICO DUX.

Minister wysypał zawartość koperty na biurko, przez chwilę ważył woreczek w dłoni i przyglądał się złotym krążkom. Po chwili odłożył woreczek na bok, przejrzał zdjęcia, a potem poszukał wśród kserokopii pisma przewodniego. Ale nie było go, nadawca nie dołączył listu, przesyłka nadeszła bez jakichkolwiek wyjaśnień. Nie była jednak zupełnie anonimowa, imię i nazwisko nadawcy – Marek Retloff – widniało na kopercie. Minister wrócił do zdjęć. Kilka fotografii przedstawiało jakieś wysychające bagno czy staw gdzieś na łąkach nad rzeką, u podnóża wału przeciwpowodziowego, widocznego w tle. Było też kilka zbliżeń fragmentów brzegu bagna z wystającymi z błota kawałkami spękanego drewna i z widocznymi w szlamie złotymi monetami. Jedno zdjęcie prezentowało w dużym powiększeniu czyjaś dłoń i leżącą w jej wnętrzu złotą monetę, odwróconą awersem do góry. Była identyczna z tymi, które znajdowały się w woreczku: profil mężczyzny i MISICO DUX w otoku. Monet w błocie musiało być przynajmniej kilkadziesiąt, możliwe, że znacznie więcej. Ktoś znalazł skarb i przysłał ministrowi cztery, aby pochwalić się znaleziskiem? Jakiś archeolog? Ale dlaczego bez wyjaśnień?

Minister sięgnął do pliku kartek nadesłanych wraz z woreczkiem i zdjęciami. To były nie tylko kserokopie, w pliku znajdowały się też wydruki stron z Internetu, z portalu Stowarzyszenia Naukowego Archeologów Polskich i z cyfrowego serwisu „Nauki w Polsce”. Było kilka kserokopii artykułów z trójmiejskich gazet, screeny z „Wiadomości Archeologicznych” i z serwisu PAP-u, a także ksera dużych artykułów z miesięczników „MAP-Eksplorator” i „Archeologia Żywa”.

Minister zaczął od krótkiej notki PAP-u, a potem sięgnął po wydruk z serwisu „Nauki w Polsce”. Tekst zawierał informacje o sensacyjnym odkryciu archeologicznym, dokonanym przed kilkoma miesiącami przez profesora Piotra Mamińskiego z Uniwersytetu Gdańskiego. Był ilustrowany zdjęciami, których część minister znał, znajdowały się w przesyłce. Badania ratownicze, prowadzone od pierwszych dni października w starorzeczu dolnej Wisły w pobliżu Kwidzyna (dokładnej lokalizacji stanowiska nie podano), pozwoliły odnaleźć zachowany w zaskakująco dobrym stanie wrak długiego, drewnianego statku, a badania dendrochronologiczne, przeprowadzone przez dr hab. Agnieszkę Skórzewską-Thompson z UG, wykazały, że jednostkę zbudowano z dębu w połowie X wieku. Części statku łączone były kołkami z miękkiego drewna, które następnie rozklinowano drewnem dębowym, co zdaniem dr Elżbiety Michalskiej z Narodowego Muzeum Morskiego w Gdańsku jednoznacznie wskazywało na słowiańską proveniencję łodzi, prawdopodobnie bojową snekę (części łodzi wikingów łączono metalowymi nitami). Najciekawsze autor artykułu zostawił na koniec: wiele wskazywało na to, że stanowisko mogło zostać wcześniej spenetrowane i okradzione przez rabusiów, o czym świadczyły zdjęcia nadesłane profesorowi Mamińskiemu przez anonimową osobę. Zdjęcia przedstawiały skarb złotych monet i jeśli monety były współczesne odnalezionemu statkowi, mielibyśmy do czynienia z sensacją na skalę Europy. Profesorowi i jego ekipie nie udało się jednak odnaleźć na stanowisku ani jednej monety, co – zdaniem autora tekstu – mo-

gło oznaczać dwie rzeczy: albo rabusie zdołali wydobyć cały skarb, do ostatniego pieniążka, albo też – i to było najciekawsze – mogła tu wchodzić w grę mistyfikacja, a zupełny brak monet mógł być efektem celowego zabiegu, mającego uniemożliwić analizę chemiczną złotego kruszcu i ujawnienie oszustwa. Stare, wczesnośredniowieczne złoto piastowskie musiałyby bowiem zawierać wiele zanieczyszczeń, jakieś domieszki pirytu, arsenopirytu, teluronu, niklu czy srebra, i byłoby łatwe do odróżnienia od współczesnego kruszcu, który po przejściu rafinerii elektrolitycznej jest od nich wolny. Autor nie próbował domyślać się motywacji ewentualnych mistyfikatorów, a tekst kończył przypomnieniem kilku spektakularnych archeologicznych pomyłek i ewidentnych fałszerstw: odnalezionego w 2001 roku w jeziorze Chiemsee złotego, bogato zdobionego kociołka, który uważano za liczący kilka tysięcy lat artefakt celtycki, dopóki analiza kruszcu nie wykazała dwudziestowiecznej proveniencji złota, z którego go wykonano, przywoływał postać Shin'ichi Fujimury, który przez dwadzieścia lat fałszował wyniki swoich prac, „wydłużając” historię obecności człowieka na Wyspach Japońskich aż do sześciuset tysięcy lat, przypominał kontrowersyjną historię słynnych kryształowych czaszek czy odnalezienie „brakującego ogniwa Darwina” – czaszkę poskładaną ze sztucznie postarzonych kości ludzkich i orangutanich, którą uzupełniono kopalnym zębem szympansa.

Minister odłożył wydruk artykułu i sięgnął po woreczek. A jednak monety były i możliwa była analiza chemiczna kruszcu. Metalurzy (czy jak się tam nazywają ci specjaliści od tych spraw) będą mogli ustalić skład chemiczny złota, z którego wykonano monety i dać odpowiedź na pytanie o ich wiek. To było ciekawe i minister bez zwłoki rozerwał strunę woreczka i wysypał monety na dłoń. Były posklejane po dwie scotchem. Dwie pary. Wcisnął guzik interkomu i poprosił o żyletkę. Dostał nożyk introligatorski, którego w sekretariacie używano w charakterze noża do papieru. Ujął pierwszą parę między kciuk i palec wskazujący lewej ręki, prawą chwycił nożyk i ostrożnie pociągnął końcem ostrza wzdłuż linii sklejenia. Przeciął połowę, odłożył nożyk i wsunął końce kciuków w szparę. Scotch łatwo puścił i monety pokazały swoją ciemną stronę.

Minister patrzył zaskoczony. Co to miało być? Po chwili oczyścił monety z resztek taśmy i obracał je w palcach. Awers – profil mężczyzny i MISICO DUX w otoku. I rewers... Chwycił drugą parę monet i przeciął łączącą je taśmę. Na rewersach to samo.

Włożył monety z powrotem do woreczka, składając je ponownie rewersami do siebie. Potem nachylił się w stronę interkomu i powiedział: – Proszę wezwać do mnie Mecensa i niech się pospieszy. Zaraz. To pilne!

Do ambasady Niemiec przy Calle Fortuna w Madrycie przesyłka dotarła trzydziestego grudnia, w piątek, dzień przed sylwestrem, kiedy połowa personelu kończyła przygotowania do wyjazdu na kilka dni do kraju albo na całotygodniowy urlop gdzieś na Teneryfie, Las Palmas czy Majorce. Dr Matthias Rehm, pułkownik dyplomowany, kierownik Wydziału ds. Nauki i Badań Naukowych ambasady i rezydent Bundesnachrichtendienst w Madrycie, też chętnie wybrałby się z rodziną gdzieś nad ciepłe morze, ale na razie musiał zadowolić się Berlinem i towarzystwem Felixa Hösslera, szefa wydziału III, wywiad na Europę południową, który go oczekiwał jeszcze tego wieczoru w nowej siedzibie BND przy Chausseestrasse w związku z planowaną reorganizacją rezydentury.

Przesyłkę otrzymał dwie godziny przed terminem odlotu samolotu do Berlina. Przyniósł ją jakiś mężczyzna, wrzucił do skrzynki na korespondencję wystawionej przed ambasadą i odszedł bez pośpiechu. Koperta adresowana była do attache kulturalnego ambasady Alexandra Schücka, którego nazwisko i funkcja, podobnie jak nazwisko i oficjal-

ne stanowisko Rehma, widniały na ogólnie dostępnej stronie ambasady. Schüick otworzył kopertę, obejrzał zawartość i po krótkim namyśle przekazał Rehmowi.

Koperta była zamykana na klej i metalowym motylkiem. Była już otwierana, toteż teraz trzymał tylko motylek. Rehm wysypał jej zawartość na biurko. Uwagę zwracał strunowy woreczek z czterema złotymi monetami. Było też kilka zdjęć i niewielki plik kartek, kserokopii i wydruków, wszystkie z tekstami po polsku. Wydruk z serwisu „Nauki w Polsce” zawierał na końcu „Summary”, streszczenie artykułu po angielsku, które pozwoliło Rehmowi zorientować się, w czym rzecz. Dokonano jakiegoś ciekawego odkrycia archeologicznego w Polsce, miało ono związek z początkami państwa. Prawdopodobnie zrabowano jakieś cenne historycznie monety ze stanowiska, o czym świadczyć miały zdjęcia (bo samych monet nie znaleziono), zwłaszcza jedno, z doskonale widocznym awerssem.

Rehm sięgnął po woreczek, wysypał monety na biurko, ułożył je przed sobą w szeregu na blacie – awers, rewers, awers, rewers – i przez długą chwilę przyglądał się im. Ciekawe. I dziwne. Jeśli nie miał do czynienia z podróbką, być może mogło to mieć potencjał. Jeszcze raz przyjrzał się złotym krążkom. Podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu i polecił zabezpieczyć monitoring ambasady. Pewnie na nic się to nie przyda, zwłaszcza teraz, kiedy w Hiszpanii wszyscy chodzili opatuleni i zakapturzeni na ulicach, ale i nie zaszkodzi. Sprawdził na zegarku godzinę, pozostawało półtorej godziny do odlotu samolotu Lufthansy z lotniska Madrid-Bajaras do kraju. Sporządził krótką notatkę służbową, włożył monety, kartki i zdjęcia na powrót do koperty, w której dostarczono przesyłkę. Ponownie podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu i polecił przygotować list kurierski. Zdecydował osobiście zabrać przesyłkę w poczcie dyplomatycznej, niepodlegającej kontroli celnej.

Wieczorem koperta znalazła się w siedzibie Bundesnachrichtendienst w Berlinie. Dotyczyła Polski, więc przekazano ją do wydziału V, wywiad na Europę wschodnią. W ciągu pięciu następných dni na polecenie Volkera Siewerta, szefa wydziału V, przetłumaczono wszystkie teksty i – mimo świątecznej przerwy – uzyskano opinie dwóch ekspertów z Humboldt-Universität.

Siódmego stycznia rano pani kanclerz, wypoczęta po paru dniach urlopu „gdzieś w górach, gdzie tradycyjnie spędzała święta jeżdżąc na nartach w towarzystwie męża Joachim Sauer” (jak informował dziennikarzy rzecznik), słuchała raportu Rüdiger Wolfruma, prezydenta Bundesnachrichtendienst. Wolfrum nie okazał tego, ale był zdziwiony faktem, iż znajdująca się w raporcie na ostatnim miejscu informacja o czterech polskich monetach z dziesiątego wieku, dostarczonych przez niezidentyfikowaną osobę do ambasady w Madrycie, żywo zainteresowała *Frau Kanzlerin*.

Trwał przyptyw, fale gwałtownie napierały na ląd, a silny, mokry wiatr znad oceanu dodatkowo je napędzał. Woda szybko zajmowała błotnisty teren zalewowy u podnóża klifu, zmuszając kobiety zbierające małże w mule do przerwania pracy. Kilka kropel mżawki uderzyło w szyby zachodniego okna kamiennego domu, posadowionego na skalnej półce w połowie wysokości klifu. Mężczyzna, siedzący przy biurku pod oknem, podniósł głowę znad pulpitu laptopa i popatrzył na ocean, a potem zwrócił wzrok na kobiety, które grzęznąc po kolana w błocie wycofywały się na plażę, gdzie już nie sięgały fale. Mężczyzna wiedział, że u podnóża klifu kobiety zdejmą wodery i zaczną wspinać się ze swoimi koszami ścieżką w górę, i że kilka minut później będą przechodzić obok

domu, gdzie być może przystaną na chwilę, aby odetchnąć, a potem zaczną wspinać się wyżej, do wioski. To zawsze stwarzało okazję do kupienia porcji świeżych *almejas*, ale dziś nie potrzebował małży. Rano, korzystając z przejaśnienia, zszedł na plażę z wędkami i między zielonymi skałami złowił podobną do węgorza drapieżną rybę, którą miejscowi nazywali kongerem.

Był początek lutego, dzień był chłodny, temperatury rzadko przekraczały teraz dziesięć stopni, i mężczyzna wstał od biurka i dołożył do kominka z otwartym paleniskiem parę kawałków dryftowego drewna, zbieranego na plaży po sztormach. Czekał przez chwilę, aż drewno zajmie się od żaru i buchnie płomieniem, któremu zaschnięta sól i ziarenka piachu dodadzą kolorów. Potem wrócił do biurka pod oknem i włączył drugi laptop. Ten drugi miał połączenie z Internetem i mężczyzna czekał, aż urządzenie zaloguje się do sieci. Kliknął na ikonkę Mozilla Firefox, pokazała się strona startowa Google. Kliknął na Zakładki, przewinął, znalazł stronę Ministerstwa Kultury, otworzył i przejrzał komunikaty. Od miesiąca, od pierwszych dni stycznia, sprawdzał tę stronę, szukając informacji o przesyłce i o złotych denarach Mieszka. Nadal nic, cisza w temacie. Było oczywiste, że ministerstwo nabrało wody w usta i czekało na jego ruch. Będą milczeć. Pewnie najpierw spróbują jakiegoś draństwa, to było raczej oczywiste, oszustwo mieli w genach i inaczej nie mogli. Ale wszystkie karty były w jego rękach. Przyszedł czas na przedstawienie oferty.

Otworzył szufladę biurka i patrzył na rozsypane na jej dnie monety. Złoto liczyło sobie ponad tysiąc lat, ale lśniło tak, jakby dopiero co wyszło z mennicy. Dziewięćdziesiąt dwie sztuki. Wtedy, we wrześniu nad rzeką, nie potrafił od razy ocenić, ile ich jest. Mogło być tysiąc, półtora? Miał małą cyfrową wagę wędkarską o skali do dziesięciu kilogramów i dokładności do pięciu gramów. Zważył skarb w dwóch partiach, dodał wyniki i uzyskał zbiorczy wynik ponad czternaście i pół kilograma. Wydobyte z bagna monety były nieoczyszczone i wilgotne, więc mogło to być coś koło czternastu kilogramów. Odliczył sto monet, umył je w rzece, osuszył, włożył do foliowego woreczka i podwiesił na haku wagi – ważyły 1380 gramów. Sprawdził w telefonie cenę złota – aktualnie dochodziła do prawie dwustu dwudziestu pięciu tysięcy za kilogram. Czternaście kilogramów złotemu wartych było ponad trzy miliony złotych. Ale to, co znalazł, nie było złomem, miało znacznie wyższą wartość kolekcjonerską. Zważywszy na okoliczności, warte było nawet wielokrotnie więcej niż cena kolekcjonerska.

Do wieczora obmyślił plan, w nocy przespał się z nim i rano obudził się z przekonaniem, że ma go nadal. Następny dzień spędził w tym samym miejscu, włożył się po okolicy ze spinningiem i udawał, że obławia starorzecza, rozciągające się na północ od tego, w którym znalazł skarb. W południe trafił na odpowiednie, oddalone może półtora kilometra od obozu. Kolejnej nocy wstał i zapadając się po pachwiny w błotnistej mazi wszedł w bagno i zagrzebał skarb głęboko w mule. Złoto było ciężkie, bez tej setki, którą sobie zostawił, ważyło około trzynastu kilogramów i, zapakowane w grubą folię, miało objętość niewiele większą od kuli, używanej przez miotaczy w czasie zawodów lekkoatletycznych.

Rzucił ostatnie spojrzenie na dziewięćdziesiąt dwie sztuki, rozrzucone na dnie szuflady. Otworzył nowe okienko na pulpicie laptopa, kliknął na Zakładki, wszedł w yahoo, zalogował się, kliknął na Compose, przepisał ze strony ministerstwa adres, wpisał temat maila: dot. MISICO DUX. Potem treść. Zadzwoni za kilka dni, przedstawi ministrowi warunki. Podpisał się „Marek Retloff”. Kliknął na Send, poszło.

Dzień był pochmurny, deszczowy, ale w gabinecie ministra na Krakowskim Przedmieściu było jasno jak w słoneczne południe, rozjaśniały go światła podwieszzonego pod sufitem piętrowego, kryształowego żyrandola, lampki z kolorowymi, szklanymi kloszami w stylu Tiffany'ego na biurku i na stoliku przy drzwiach, i kryształowe kinkiety na ścianach. Minister siedział w ergonomicznym, skórzanym fotelu za biurkiem, ustawionym naprzeciw wysokich dwuskrzydłowych drzwi, i kolejny raz przeglądał rytmicznie zmieniające się zdjęcia na pulpicie komputera. Mężczyzna z profilu, en face, zdjęcia paszportowe, z dowodów osobistych, pełna sylwetka gdzieś w plenerze, na jachcie... Mecenas miał dobre kontakty ze służbami, sporo udało mu się zebrać przez tych kilka dni. A służby umiały węszyć, czasem aż za bardzo. Szef jednej z dwóch koalicyjnych partyjek skarżył mu się niedawno w zaufaniu, że go inwigilowali i prześwietlili do dziesiątego pokolenia. Cóż, prezes musi wiedzieć, na czym stoi i jak kogoś chwycić za jaja w razie potrzeby.

Kątem oka minister dostrzegł ruch w drzwiach i oderwał wzrok od pulpitu. Mecenas z tekturową teczką w ręce stał uprzejmie w progu, czekając na zaproszenie. Dostrzegł przyzwalający gest ministra i przestąpił próg.

- Niech pan siada – powiedział minister, wskazując mu okrągły stolik ustawiony przy drzwiach, z czterema fotelami z okresu Księstwa Warszawskiego, uzupełniającymi eklektyczne umeblowanie gabinetu. – Kawy?

- Dziękuję, panie ministrze. Piłem przed chwilą.

- A ja poproszę. – Minister nachylił się do intercomu i złożył zamówienie. Słyszał, jak szefowa sekretariatu przekazuje polecenie dalej, jednej z urzędniczek, pełniących rotacyjnie służbę przy ministrze. Wstał zza biurka i przeszedł do stolika przy drzwiach. Usiadł i przyglądał się łysiejącemu ciemieniu Mecenasasa, który z pochyloną głową grzebał w teczce z papierami. Urzędnik podniósł głowę i minister dał mu przyzwalający znak, że może zaczynać.

- Nie nazywa się Marek Retloff, panie ministrze – rozpoczął referowanie Mecenas. – Naprawdę nazywa się Marek Krzyworzeka, tak jak w adresie maila, który nam przysłał. Doktor Marek Krzyworzeka. Historyk i archeolog. Pracował w Instytucie Prahistorii Słowian PAN-u w Gdańsku. Doktorat pisał z historii. Coś o Wenedach. Zaliczał ich do Słowian. To pozytywne.

- Tak?

- Zdecydowanie.

- Ale co to za nazwisko? Krzyworzeka?

- To jest właśnie jego nazwisko, panie ministrze. Tak się nazywa.

- Rozumiem.

- Osiem lat temu zwolnił się z instytutu i wyjechał z Polski po tym, jak nie obronił rozprawy habilitacyjnej. Pisał coś o handlu słowiańskimi niewolnikami w czasach pierwszych Piastów. Nie obronił się, a właściwie pracę utracono na etapie recenzji, ale zaproponowano mu etat naukowo-techniczny, co byłoby oczywiście pewną degradacją, ale dawało szansę na pozostanie w nauce. Nie przyjął tego. Podobno czuł się bardzo skrzywdzony czy oszukany. Po wyjeździe rok mieszkał w Szwecji, rok w Niemczech, sześć lat temu osiedlił się w Hiszpanii. Nie wiemy, co tam robi. Sporo podróżuje.

- Ma rodzinę?

- Córkę jedynaczkę. Nastolatka, uczy się w elitarnym liceum Nuestra Señora Virgen Maria w Madrycie. To droga szkoła. Sam ją wychowuje. Nie znamy okoliczności...

- Ma majątek?

Mecenas podniósł głowę znad papierów i popatrzył w oczy ministrowi.

- Teraz będzie miał – powiedział.

- Skurwysyn – powiedział minister.

Weszła dyżurna urzędniczka z kawą. Obaj czekali, aż opuści gabinet.

- To się nie może roznieść – powiedział minister z determinacją, kiedy za kobietą zamknęły się drzwi. – Hańba dla całego narodu.

- Zgadzam się, panie ministrze. Oczywiście.

- Już sobie wyobrażam te napisy na murach, te banery, transparenty na demonstracjach – kontynuował minister. – Wie pan, co by pisali? I to wielkimi literami.

- Na pewno.

- Tak by było. Myśli pan, że nie?

- I nie tylko napisy – przytaknął Mecenas.

- I nie tylko napisy, tak. Pan sobie wyobraża, co zaczęliby wyrabiać narodowcy?

- Że już nie wspomnę...

- I nie wspominaj pan. Wolę nie myśleć. Wystarczą mi narodowcy.

- Poseł Brązowy i ta jego kamaryla...

- Szlag by to...

- A Uniwersytet Lubelski?

- Daj pan spokój!

- W Białymstoku chyba spaliliby IPN.

- Mamy IPN w Białymstoku?

- Chyba tak. Wszędzie mamy.

- Nieważne. Chuj z IPN-em. Co robimy? Ma pan jakiś pomysł?

Mecenas powoli skinął głową. Minister czekał. Mecenas powiedział:

- Pan minister zadał ciekawe pytanie.

Minister zastanowił się.

- Ja? Które pytanie? Co robimy?

- Nie, nie. Co zrobiliby narodowcy. Prawda?

- Chyba tak.

- Panie ministrze – ciągnął Mecenas. – Proszę mnie źle nie zrozumieć...

- Niech pan mówi – ponaglił minister.

- Tak się zastanawiam...

- No i?

- Co zrobiliby narodowcy na naszym miejscu? Gdyby wiedzieli to, co my wiemy.

- Nad tym pan się zastanawia?

- Tak.

- Co pan sugeruje?

- Czego by nie mówić, panie ministrze...

- No mówże pan!

- To też są patrioci! – wypalił Mecenas.

- No... chyba tak.

- Nawet poseł Brązowy...

- Daj pan spokój z Brązowym. To kabotyn.

- To na pewno...

- Do czego pan zmierza?

- Oni też kochają ojczyznę, tak jak my. Na swój sposób, oczywiście. Oni nie dopuściliby do ujawnienia tego diabelstwa, panie ministrze! Jeśli są patriotami, a przecież są, to zrobiliby to samo, co my musimy zrobić. Każdy by tak postąpił. Ucięliby łeb sprawie, że tak to obrazowo i kolokwialnie określe.

Minister przyglądał mu się z zastanowieniem. Potem szybko przesunął kantem dłoni po szyi.

- Myśli pan?...

Teraz Mecenas patrzył na ministra z namysłem. Potem zamachał ręką.

- Nie, nie! Wykupiliby to, panie ministrze. Trzeba to wykupić, musimy łobuzowi zapłacić. Nie mamy innej opcji.

Minister pokręcił głową ze zniechęceniem. Westchnął.

- Francuzi załatwiliby to inaczej – powiedział. – Pamięta pan ten statek „Rainbow Warrior”? Nie, nie pamięta pan, za młody pan jest. To był statek organizacji Greenpeace. Jest taka organizacja, do nas też się wtrącają. W latach osiemdziesiątych francuskie siły specjalne zatopiły im statek w porcie w Nowej Zelandii, kiedy Greenpeace prowadził akcję protestacyjną przeciwko francuskim próbom atomowym na Pacyfiku. Były jakieś ofiary w ludziach, jak pamiętam. Francuzi się nie patyczkowali.

- Dziś takie sprawy załatwia się pieniędzmi, panie ministrze. Trzeba z nim negocjować.

- On nie zamierza z nami negocjować. Podał sumę i tyle. Tak ze mną rozmawiał. Bezczelny typas.

- Wie, że trzyma nas w garści. Niestety.

- SB też inaczej by z nim pograło – obstawał minister.

- Nie te czasy, panie ministrze.

- Tak, wiem... – powiedział minister ze zniechęceniem. – Musimy to wykupić. Nie ma innego wyjścia.

- Niestety, panie ministrze. Trzeba będzie mu zapłacić.

- Cholerny drań. Pan mu ufa?

- Ani trochę!

- Jaką mamy gwarancję, że będzie trzymał gębę na kłódkę, kiedy mu zapłacimy? Albo że odda nam wszystkie monety? Że sobie czegoś nie zostawi na „czarną godzinę” i nas kiedyś nie udupi, jak mu przyjdzie ochota?

- Żadnej, panie ministrze. Ale nie mamy wyjścia, tak jak pan minister powiedział.

- Nasi wyborcy nigdy by nam nie wybaczyli, że pozwoliliśmy wypłynąć tej sprawie na powierzchnię.

- Zgadzam się, panie ministrze.

- Byłoby po nas, suweren by nas wykopał... Służby nie mają jakiegoś haka na niego? Czegoś, co by nas zabezpieczyło?

- Wydaje się czysty, panie ministrze. Ale nie wiedzą jeszcze, co robił w Hiszpanii przez te sześć lat. Sprawdzają teraz ten okres.

- Nie wierzę, że jest czysty. Sądząc po tym, jak z nami pogrywa. Niech go prześwietlą na wylot, tam i z powrotem. Niech mu zajrzą we wszystkie cztery otwory. Coś powinno się znaleźć. Musi być jakiś dowód.

Mecenas pozwolił sobie na uśmiech. Od czasu do czasu lubił przypomnieć, że z wykształcenia jest prawnikiem, a jego pseudonim w ministerstwie nie wziął się znikąd.

- Są trzy rodzaje dowodów, panie ministrze – wyjaśnił. – Z rzeczy, z dokumentów i z zeznań świadków. Rzeczy można podrzucić, dokumenty wytworzyć, znaleźć dobrych świadków...

- Z fałszywymi świadkami chyba najprościej?
- Mówi się dobrych świadków, panie ministrze – skrzywił się Mecenas. – Dobrych świadków. Ale w naszej sytuacji... On się na pewno zabezpieczył na taką okoliczność. Każdy by tak zrobił. Za duże ryzyko.

Obaj milczeli przez chwilę. W końcu minister skinął głową.

- W porządku – powiedział. – Po południu mam spotkanie na Nowogrodzkiej. Myślę, że pan prezes będzie tego samego zdania. Zapłacimy mu.

Mecenas pochylił się nad teczką.

- A co do tej sumy, panie ministrze – powiedział, grzebiąc w papierach – którą musimy zebrać...

- Tak?

- Pozwoliłem sobie przygotować listę spółek skarbu państwa... – Podał ministrowi zadrukowaną kartkę.

- Przejrzę to jeszcze dzisiaj – obiecał minister, lustrując wzrokiem listę. – Dobrze, że pan pamiętał. Będę musiał odbyć parę spotkań. – Pokręcił głową. – Tyle pieniędzy...

- Podał już numer konta?

- Tak. *Handelsbank Schweitz AG* w Zurichu. Uprzedził mnie, że przelew będzie szedł dwa dni, bo Szwajcaria nie należy do Europejskiej Unii Walutowej. Żebym się nie denerwował zwłoką. Po otrzymaniu przelewu natychmiast przekaże współrzędne miejsca, w którym ukrył monety. To jest w Polsce.

- Wygląda rozsądnie – ocenił Mecenas. Zamknął tekturową teczkę i położył na niej dłoń. Spojrzał z wahaniem na ministra. – Jeśli można spytać, panie ministrze...

- Tak?

- Wiadomo już, co stanie się z monetami? Pan minister zdecydował?

- Nie wiem jeszcze – przyznał minister. – To są duże monety, około tysiąca sztuk, mówił ten cały... Krzyworzeka. Kilkanaście kilogramów. Może przetopimy i odlejemy z kruszcu jakieś medale pamiątkowe? Jak pan myśli? Na przykład z okazji jakiejś okrągłej miesięcznicy? Tak! To może być dobry pomysł. Będę rozmawiał o tym z panem prezesem. Na pewno musimy to zutilizować, tak czy inaczej, bezwzględnie. To nie może wypłynąć.

- Pełna zgoda, panie ministrze – przytaknął Mecenas. – Choć, tak myślę...

- No?

- Trochę mi szkoda tego odkrycia. – Widział tężęjące spojrzenie ministra, jego zbiegające się surowo brwi, ale dokończył: – Może warto by coś zachować w depozycie dla przyszłych pokoleń, z zastrzeżeniem, że można do tego zajrzeć za, powiedzmy, pięćdziesiąt lat, czy za sto, tak jak to się robi z niewygodnymi archiwami, że podam tylko przykład Anglików. To jednak nasza historia, nasze dzieje, panie ministrze, historia naszej ojczyzny, narodu...

Minister wyprostował się w fotelu.

- Proszę pana – powiedział sucho, nachylając się w stronę rozmówcy. – Czy ojczyzna ma służyć historii, czy historia ojczyźnie? – Czekał, wpatrując się w Mecenasa, który spuścił wzrok i zajął się starannym zawiązywaniem tasiemek przy teczce. Minister dodał: – Proste?

Mecenas wstał.

- Rozumiem, panie ministrze... To wszystko?

- Tak. Dziękuję. I niech mi podadzą jeszcze jedną kawę.

- Przekażę, panie ministrze.

Kiedy zamknęły się drzwi gabinetu za Mecenasem, minister otworzył barokowy sekretarzyk, wyjął pękaty kieliszek i butelkę, nalał sobie szczodłą porcję i wychylił duszkiem. Potem nalał drugą i z kieliszkiem w lewej dłoni usiadł przy biurku. Prawą trącił myszkę i czarny pulpit komputera rozjarzył się. Patrzył na zmieniające się rytmicznie zdjęcia, na twarz tego, jak mu tam, Krzyworzeki vel Retloffa czy może Retloffa vel Krzyworzeki, czasem z profilu, czasem en face, beczelnie gapiącego się w obiektyw, tak jakby mógł wiedzieć, że któregoś dnia będzie się jego gębie przyglądał minister... Zamknął folder, pokrzepił się sporym łykiem i spojrzął w okno, na chmury wiszące nad Krakowskim Przedmieściem. Co za gówniana zima. Znowu będzie padać. Cholerny łobuz. Francuzi załatwiliby to inaczej.

Pierwsze dni lata przyniosły chłód i deszcze, które utrzymywały się ponad dekadę. Dwunastego lipca rano, kiedy na przystań Polskiego Związku Żeglarskiego w Trzebieży nad Zalewem Szczecińskim podjechały dwa radiowozy, zaparkowały przy północnym pirsie i znieruchomiały, deszcz intensywnie siekł wodę i nabrzeża mariny. Ale prognozy zapowiadały rychłą poprawę pogody i kiedy w południe do północnego pirsu dobiegła duża wędkarska łódź z kabiną w towarzystwie dwóch policyjnych kutrów, nabrzeża stały w słońcu, a nad betonem unosiła się już tylko lekka mgiełka szybko parującej wilgoci. Łodzie zacumowały, z cywilnej wysiadł duży, gruby mężczyzna i począł przechadzać się po nabrzeżu, najwyraźniej oczekując kogoś. Kilkanaście minut później z jednego z radiowozów wysiadł od strony pasażera policjant, przeszedł na tył wozu i wysikał się na koło. Sikał wygięty w łuk, wysuwając mocno do przodu biodra i brzuch, z zadartą głową i wzrokiem skierowanym w niebo. Skończył, rozejrzał się i zobaczył nadjeżdżający z lewej strony radiowóz z umundurowanymi policjantami, a za nim dwie ciemne limuzyny i szary szybki wóz zamykający kolumnę. Wtedy zasunął zamek rozporka i pospieszenie schował się w wozie.

Cztery samochody zatrzymały się na opustoszałym nabrzeżu przy wejściu na północny pirs, otworzyły się przednie drzwi obu limuzyn i na keję wysypało się czterech mężczyzn w rozpiętych czarnych kurtkach. Ten, który wyskoczył z pierwszej limuzyny od strony pasażera, otworzył tylne drzwi i wtedy z samochodu wygramolił się starszy, wyraźnie utykający człowiek w czapce z daszkiem. Mężczyźni otoczyli go i poprowadzili powoli w stronę wędkarskiej motorówki. Wszyscy czterej byli w średnim wieku, z lekko zarysowanymi się brzuskami; przy ludziach normalnego wzrostu sprawialiby wrażenie niewysokich, ale starca w kaszkiecie przerastali o pół głowy. Kiedy zbliżali się do motorówki, duży, gruby mężczyzna, przechadzający się niecierpliwie po kei od kilkadziesiąt minut, znieruchomiał, skłonił głowę w ukłonie i stanął na baczność. Starzec w otoczeniu ochrony zatrzymał się również. Z daleka wyglądało to tak, jakby przyjmował meldunek, patrząc na wprost, w mostek meldującego, a potem wysunął w jego stronę dłoń, nie podnosząc jej nawet na wysokość bioder.

Z szybkiego, szarego wozu, który zamykał kolumnę pojazdów, wysiadł korpulentny, wysoki mężczyzna z ogoloną czaszką i sportową torbą w dłoni, i pobiegł na pirs. Wydobył z torby kapok, który ochrona włożyła na starca. Kapok miał barwy maskujące, był bardzo obszerny i mały starzec wyglądał w nim tak, jakby ubrano go w jakiś o wiele za duży płaszcz z rękawami do łokci. Ochrona pomogła mu wejść na pokład motorówki i

starzec, stojąc w kokpicie, zwrócił się do pozostającego jeszcze na kei mężczyzny, który przyniósł torbę:

- Jojo, ty usiądziesz przy silniku, będziesz kierował.

- Nie, nie, panie prezesie – zaprotestował mężczyzna z ogoloną czaszką. – Łodzią steruje pan starosta, to jego łódź.

- Ależ, panie ministrze, bardzo proszę... – skłonił się właściciel łodzi.

Ale mężczyzna z ogoloną czaszką nie pozwolił mu skończyć.

- Nie, nie – powiedział. – Ja przysiądę na burcie, na półpokładzie. A pan prezes z drugiej strony silnika. To będzie dobrze wyglądać na zdjęciach. – Nagle zaniepokoi się. – A wędkę mamy?

Starosta zszedł do kokpitu, wyciągnął z kabiny teleskopowe wędziska i rozłożył je. Pięciu mężczyzn – starzec, dwaj ochroniarze, starosta i mężczyzna z ogoloną czaszką – zajęło miejsca w łodzi, ujęło wędkę w dłonie i jeden z kierowców limuzyn zrobił im serię zdjęć, po czym oddał aparat na pokład.

- Ależ będzie sensacja! – powiedział mężczyzna z ogoloną czaszką do starca. – Media to lubią. Pan prezes na rybach!

- Ale ja nie mam karty wędkarskiej! – zastrzegł starzec. – Opozycja na pewno to sprawdzi!

- Będzie interpelacja w Sejmie! – ucieszył się mężczyzna z ogoloną czaszką. – Znowu się wygłupią!

Śmiali się wszyscy, oprócz dwóch ochroniarzy na łodzi i kierowców limuzyn, którzy ruszyli do wozów i wkrótce odjechali poprzedzani przez radiowóz i ubezpieczani przez jadący w ariergardzie szybki wóz.

Na wędkarskiej motorówce starosta odpalił zaburtowy silnik i sternicy na policyjnych kutrach zrobili to samo. Wszystkie trzy jednostki ruszyły na północ.

Ale nie odplynęły daleko. Kilkanaście minut później łódź dobiła do długiego, daleko wychodzącego w płytką wodę Zalewu drewnianego pomostu, zbudowanego na palach w tunelu wyciętym w wysokich trzcinach. Pomost i prywatna posiadłość, położona półtora kilometra na północny zachód od Trzebieży, należały do zamożnej wdowy Janiny Opal, radnej PiS w Policach. Rano na posesję podjechały dwa radiowozy z komendy rejonowej, zaparkowały w strategicznych miejscach, przy bramie wjazdowej i przy wejściu na pomost, i zostały aż do przybycia kolumny czterech wozów z dwiema ciemnymi limuzynami w środku konwoju. Ich kierowcy wysiedli i czekali na pomoście. Wraz z tymi, którzy przypłynęli na łodzi, podnieśli starca z motorówki na pomost i powoli poprowadzili do limuzyny.

Oparty o otwarte tylne drzwi wozu starzec zwrócił się do mężczyzny z ogoloną czaszką.

- Ty zostajesz, Jojo – powiedział. – Przypilnuj, żeby zdjęcia pokazali jeszcze dzisiaj. To ważne.

- Oczywiście, panie prezesie – zapewnił mężczyzna nazwany Jojem. Widać było, że jest zawiedziony decyzją starca, ale starał się nie okazywać po sobie rozczarowania. – Pierwszy dostanie Kura, panie prezesie, na pewno będzie to w dzienniku, we wiadomościach.

- To ważne – powtórzył starzec, gramoląc się na tylne siedzenie wozu.

Ochroniarz pomógł mu ulokować się na kanapie, zatrzasnął tylne drzwi, rozejrzał się i porozumiał się wzrokiem z ochroniarzem przy drugiej limuzynie. Potem popatrzył na mężczyznę z ogoloną czaszką i powiedział: – Cześć, wujku! – Obaj ochroniarze roze-

śmiali się, zajęli miejsca obok kierowców, trzasnęły drzwiczki wozów, poprzedzane radiowozem limuzyny ruszyły na południe.

Kwadrans później policyjny wóz zatrzymał się na poboczu, kierowca błysnął światłami, limuzyny przemknęły obok i po chwili przekroczyły granicę państwową na przejściu drogowym Lubieszyn-Linken. Po paru minutach osiągnęły autostradę E28 i pędziły na południe.

Należący do niemieckiego rządu zamek Meseberg w Brandenburgii, odległy o około sto kilometrów na północny zachód od Berlina, był dobrym miejscem na dyskretne spotkania i pani kanclerz chętnie prowadziła tu kameralne, poufne rozmowy z przywódcami innych państw. Kameralne albo takie, które należało z jakiegoś powodu ukryć.

Zaproszenie na mające pozostać w zupełnej tajemnicy spotkanie pani kanclerz ze starcem dyskretnie wystosowała strona polska. Miało ono odbyć się w Polsce. Z punktu widzenia protokołu dyplomatycznego zaproszenie było kuriozalne, bo starzec nie pełnił żadnej oficjalnej państwowej funkcji, sprawował tylko mandat zwykłego posła. W rzeczywistości był jednak najważniejszą osobą w swoim kraju, podejmował strategiczne decyzje, postanowiono więc machnąć ręką na formalną nieostosowność zaproszenia, odmówiono potajemnego spotkania na terenie Polski, uzasadniając to względami bezpieczeństwa, ale zaproszono starca do Niemiec. Skoro nadarzyła się szansa poprawienia coraz gorszych relacji wzajemnych, trzeba było ją wykorzystać.

Dwunastego lipca parę minut po czternastej dwie ciemne limuzyny z polską rejestracją podjechały na parking przed hotelową częścią zamku. Otoczonego ochroniarzami starca wprowadzono do wnętrza i zawieziono windą na pierwsze piętro budowli, gdzie w rządowym apartamencie zjadł obiad w towarzystwie dwóch czekających na niego europosłów, którzy mieli uczestniczyć w oficjalnej części spotkania jako doradcy. Do godziny szesnastej, o której miały rozpocząć się rozmowy, starzec zdrzemnął się, zregenerował siły, a bezruch pozwolił odpocząć jego pulsującemu kolanu. Służba hotelowa miała dość czasu na odprasowanie jego dwóch przywiezionych w bagażu garniturów i odświeżenie pozostałej garderoby.

Kilkanaście minut przed szesnastą czterech członków niemieckiej ochrony osobistej z Abteilung Sicherungsgruppe, wydzielonego departamentu Bundeskriminalamt, ochraniających Bundesprezydenta, Bundeskanzlerin, a także zagraniczne delegacje wysokiego szczebla, zjawіło się po starca i jego dwóch doradców przed drzwiami apartamentu. Szef Personenschutz, wysoki, szczupły rudzielec, położył dłoń na piersi polskiego ochroniarza, który otworzył drzwi. Zobaczył błysk w jego oku i natychmiast ją cofnął. Obaj wiedzieli, że nie ma chemii między nimi.

- *Du bleibst hier und rührst dich nicht vom Fleck* – powiedział rudy mężczyzna.

Znajomość podstawowych języków wchodziła w zakres ich szkolenia, a ci, którzy wyszli z formacji typu kommando, gdzie ich najczęściej rekrutowano, wynieśli ją z macierzystych jednostek. Zresztą na misje czy do ochrony VIP-ów delegowano z reguły tych, którzy znali język drugiej strony. Ale nieduży ochroniarz z GROM Group uśmiechał się dalej tak, jakby niczego nie rozumiał. Potem powiedział, odwracając głowę lekko w bok, tak jakby mówił do kolegi w pokoju:

- Szkoda, że go ojciec na krzak nie wylał.

Obaj ochroniarze, stojąc po obu stronach progu, wymienili spojrzenia, rytuał został odprawiony, po czym mniejszy uśmiechnął się jeszcze raz i cofnął się w głąb apartamentu. W drzwiach pojawili się starzec i dwaj doradcy. Starzec prawie nie kulał teraz;

zaraz po przyjeździe do zamku jeden z ochroniarzy zrobił mu w kolano zastrzyk z kortyzonu i lidokainy i blokada spełniła zadanie. Do spotkania z panią kanclerz pozostawało dziesięć minut.

Kiedy go wprowadzono do małej salki konferencyjnej, *Frau Bundeskanzlerin* właśnie wchodziła drugimi drzwiami. Nie pozwoliła mu czekać. Ujęło go to.

Po dwóch godzinach oficjalnych rozmów w towarzystwie doradców spacer po ogrodach zamkowych mógłby być miłą odmianą, gdyby nie upał panujący na zewnątrz. O osiemnastej ogrody ciągle jeszcze pławiły się w słońcu i wysoka temperatura sprawiała, że starzec pocił się w swoim ciemnym garniturze, w koszuli zapiętej na ostatni guzik i w szerokim pasiastym krawacie, ciasno ściągniętym pod szyją, krocząc powoli obok pani kanclerz między pełnymi kwiatów rabatami. Kobieta zauważyła krople potu zbierające się na jego czole i na nieruchomej, mięsistej górnej wardze, której nie podnosił nawet wtedy, kiedy się uśmiechał, i wskazała nieodległy stolik pod szerokim parasolem nad stawem.

Kelnerkę, która podeszła na ledwie zauważalny gest kanclerz, można by uznać za ubraną na czarno, gdyby nie śnieżnobiała koszula, której biel podkreślała jeszcze dyskretna czarna mucha pod kołnierzykiem. Po chwili wróciła, niosąc na otwartej lewej dłoni tackę, a potem przytrzymała ją prawą, kiedy pani kanclerz sama sięgnęła po kieliszki i ustawiała je na blacie stolika przed starcem: gospodyni, szczerze ucieszona wizytą gościa.

Jeśli nie liczyć paru nieuniknionych zgrzytów, rozmowy w gronie doradców przebiegały pomyślnie, obie strony chciały rozmawiać, choć starzec wiedział, że *Bundeskanzlerin* doskonale rozumie przyczyny, dla których zabiegał o spotkanie. Po brexicie, kiedy w Unii ostatecznie zabraknie zawsze hamujących integrację europejską Brytyjczyków, za którymi można się było schować, polskiemu rządowi grozić będzie zupełne osamotnienie we Wspólnocie. W klubie państw Grupy Wyszehradzkiej nikt już nie widział w Polsce lidera, Słowacja otwarcie podkreślała, że jest przede wszystkim członkiem Unii, nie Grupy, a małe kraje bałtyckie ostentacyjnie nie chciały mieć nic wspólnego z antyunijną polityką Polski. Nawet Czechy i Węgry opowiadały się za utworzeniem wspólnej unijnej armii, wspólnych europejskich sił szybkiego reagowania. Przed szczytem w Rzymie spotkały się cztery najważniejsze państwa Unii – Niemcy, Francja, Hiszpania i Włochy – aby porozmawiać o przyszłości wspólnoty. Bez Polski.

Na użytek wewnętrzny, na potrzeby twardego elektoratu, można było mówić, że *Pani kanclerz jest w Europie absolutnym numerem jeden i to nie jest zdrowa sytuacja dla Europy*, ale tu, w Meseberg, trzeba się było uśmiechać. Zresztą nie przychodziło mu to trudno; ta potężna kobieta (magazyn „Forbes” parokrotnie przyznawał jej tytuł najbardziej wpływowej kobiety świata, a raz nawet wyprzedziła wszystkich, zostawiając w pobitym polu przywódców USA, Rosji, Chin i Franciszka) dokładała wszelkich starań, aby stroną w konflikcie związanym z tym, co w Europie beczelnie i arogancko nazywano „deficytem praworządności w Polsce”, nie były Niemcy, tylko Unia, aby nigdy nie stało się to sporem niemiecko-polskim. Jej rząd przetrzymał wszelkie prowokacje prawicowych hardlinerów, usiłujących grać na nacjonalizmie Polaków, a ona sama, przez wzgląd na trudne zaszczości historyczne, nigdy nie wypowiadała się antypolsko. Odkrycie jej polskich korzeni ze strony ojca, co skądinąd – zdumiewające! – ani trochę nie zaszkodziło jej w oczach Niemców, nadal nazywali ją swoją *Mutti*, Mamuską (mógł sobie wyobrazić, co stałoby się w Polsce, gdyby wyszło na jaw, że jego dziadek nazywał się w

młodości Erpel) podsunęło mu pomysł na prezent, jaki zamierzał jej wręczyć w czasie kończącej spotkanie kolacji.

A teraz postawiła przed nim kieliszki z białym winem i z wodą, i z szerokim, zachęcającym, rozjaśniającym twarz uśmiechem, czekała, aż przedstawi sprawę, która kazała mu prosić o tę rozmowę w ogrodach, *face to face*, bez świadków. W pewnej chwili spytała:

- *Izwinite pożałujsta, kak zowut etowo czeławieka?*

Podał jej nazwisko, a potem powiedział stanowczo: – *Eto nasz kandidat na etu dołżność.*

- *Nie znaju. Eto kto?*

Słuchała, nie zmieniając wyrazu twarzy, jak przedstawia jej tę nieznaną, anonimową postać, tę absurdalną kandydaturę, niemającą najmniejszych szans na wybór, jak brnie w ten bezsens, i jak potem dowodzi, że kandydatem nie może być przecież ktoś, kogo nie popiera jego własny kraj, nie było takiego przypadku w całej historii Unii. Słuchała, jak ostrzega, że kandydatowi, na którego stawiają wszystkie pozostałe państwa Unii, dwadzieścia siedem państw wspólnoty, mogą zostać postawione prokuratorskie zarzuty w Polsce. Toczyły się przecież przeciw niemu różne postępowania w związku z jego odpowiedzialnością, na razie tylko polityczną, w przyszłości pewnie też prawną i karną. Prywatyzacja, afera Amber Gold, odpowiedzialność za Smoleńsk, za gierki z Putinem i tak dalej. Co będzie, jeśli Polska wystawi za nim europejski nakaz aresztowania?

Rozstali się na krótko, aby przebrać się do pożegnalnej kolacji. Przy niemieckim i włoskim winie przyszedł czas na wymianę prezentów. Starzec miał dla swej rozmówczyni przygotowany obraz olejny, odpowiedni na tę okazję. Spotkanie było tajne, dar musiał więc być bardzo osobisty, tylko dla niej. To był współczesny widok domu, w którym urodziła się jej matka, Herlind Jentzsch, *primo voto* Kasner. Jeden z niewysokich, stojących w szeregowej zabudowie, stykających się szczytami skromnych budynków przy ulicy Batorego 47 w Gdańsku Wrzeszczu. Obraz nie był wybitnym dziełem sztuki, ale starzec widział, że sprawił jej radość tym prezentem. Zapewniła go, że ogromnie ucieszy jej dobiegającą dziewięćdziesiątki matkę.

Miał nigdy nie dowiedzieć się, że to, co *Frau Bundeskanzlerin* przekazała mu w rewanżu, nie było tym podarunkiem, który przygotowała dla niego pierwotnie, że wymieniła prezent po rozmowie w ogrodach. Opcja B była eleganckim, prostokątnym etui, szczelnie kryjącym zawartość. Chciał je otworzyć, ale kobieta przytrzymała jego dłoń. Niech otworzy później, w samotności, to bardzo prywatny prezent.

Otworzył je dopiero nazajutrz, w Warszawie, kiedy obudził się koło południa po długiej nocnej podróży. Etui kryło płaską, niewielką gablotkę. Można ją było powiesić na ścianie. Złoto imponująco prezentowało się na tle granatowego aksamitu, wyściełającego wnętrze pudełka. Dwie monety. MISICO DUX w otoku. Awers. Rewers.

Bardzo prywatny prezent...

Przygotowania do obchodów Święta Niepodległości weszły w końcową fazę. Zapowiadał się trzydniowy weekend, bo 11 listopada wypadło w tym roku w piątek. Policja z kilkudniowym wyprzedzeniem podała komunikat, które ulice i w jakich godzinach pozostaną zamknięte dla ruchu samochodowego. Na całej trasie Marszu Niepodległości, od ronda Dmowskiego po błonia Stadionu Narodowego, służby miejskie rozstawiały bariery

i usuwały wszystko, co świętującym rocznicę mogło posłużyć do walki. Lokatorzy budynków usytuowanych przy trasie przemarszu zabezpieczali balkony i okna, co ostrożniejsi właściciele sklepów i galerii osłaniali witryny swoich biznesów arkuszami płyt paździerzowych i mocnej sklejki. Osłony szybko zostały oklejone przez organizatorów uroczystości plakatami z hasłem tegorocznego marszu: „Polska dla polskich Polaków!”.

Bomba wybuchła w czwartek rano, w przeddzień święta. Bomba miała postać „Gazety Wyborczej” i zamieszczonego w niej artykułu na dwie strony i zdjęcia zajmującego pół szpalty na stronie pierwszej, tuż pod tytułem dziennika. Zdjęcie przedstawiało złotą monetę, sfotografowaną z obu stron, awers i rewers. Gazeta cytowała opinie dwóch wybitnych mediewistów, profesorów Mieczysława Wieczorka z Uniwersytetu Warszawskiego i Stefana Wieczorka z Uniwersytetu Jagiellońskiego (zbieżność nazwisk przypadkowa), sporządzone przed kilkoma miesiącami na zlecenie Ministerstwa Kultury, które jakimś tajemniczym sposobem wyciekły z ministerstwa i trafiły w ręce dziennikarzy. Według opinii ekspertów, moneta na pewno nie była fałszywką, to bez wątplenia był autentyk, wczesnośredniowieczny denar piastowski, natomiast inskrypcja w otoku monety – MISO DUX – wskazywać miała jednoznacznie na władcę, który wypuścił emisję: księżę Mieszko I, założyciel państwa. W porannym przeglądzie prasy, w serwisach informacyjnych, wszystkie stacje telewizyjne – oprócz państwowej – podawały tę sensacyjną wiadomość na pierwszym miejscu. Sensacją był rewers.

Dzień minął na polowaniu na wypowiedzi ekspertów, polityków i przypadkowych zwykłych ludzi, dobieranych w zależności od profilu stacji. Odnaleziono oczywiście obu profesorów, autorów cytowanych opinii. Profesor Mieczysław Wieczorek, który przed paroma miesiącami przeszedł lekki udar, leżał właśnie po operacji wszczepienia endoprotezy biodrowej w Centralnym Szpitalu Klinicznym MSWiA na Wołoskiej w Warszawie i zdaniem lekarzy potrzebował bezwzględnie spokoju, toteż żadnemu z dziennikarzy nie udało się do niego dotrzeć. Być może stan zdrowia albo zaawansowany wiek rzeczywiście nie pozwalały mu na kontakt z mediami, choć wśród części dziennikarzy nie brakowało podejrzeń, że autor kontrowersyjnej ich zdaniem opinii wolał uniknąć niewygodnych pytań i konfrontacji.

Z profesorem Stefanem Wieczorkiem z Krakowa, znacznie młodszym od warszawianina, poszło dziennikarzom o wiele łatwiej, choć skończyło się wszystko zaskakującym finałem, który w przekazie dnia przyćmił nawet na chwilę meritum sensacji. Media bez trudu odszukały profesora na Wydziale Historycznym UJ na Gołębiej i zarzuciły pytaniami, na które odpowiedział oświadczeniem, wygłoszonym na korytarzu instytutu najpierw po polsku, potem – na użytek korespondentów zagranicznych – po angielsku. Oświadczenie było jednozdaniowe i sprowadzało się do potwierdzenia „w całej rozciągłości” opinii przygotowanej na prośbę Ministerstwa Kultury, i stwierdzenia, że to jest wszystko, co opiniodawca ma do przekazania w sprawie złotych denarów. Profesor wygłosił to oświadczenie, nie odpowiedział na żadne pytanie przekrzykujących się reporterów, odwrócił się na pięcie i ruszył korytarzem w stronę swojego gabinetu, pozostawiając dziennikarzy z rzecznikiem UJ w charakterze wątlej, jednoosobowej zapory. Przeszkoda została natychmiast sforsowana przez ekipę telewizji państwowej, a wyspecjalizowany w ściganiu rozmówców reporter Miłosz Pukiel pobiegł za odchodzącym, ciągnąc za sobą kamerzystę, a także parę innych ekip, które też nie chciały odejść z niczym.

Profesor Stefan Wieczorek od swojego imiennika z Warszawy różnił się nie tylko wiekiem, ale także posturą. Kiedy w powietrzu zawisło głośno wykrzywane przez reportera za odchodzącym historykiem pytanie, jednoznacznie sugerujące „nikczemną prowokację

określonych środowisk”, dobre ponad dwa metry wzrostu i sto trzydzieści kilogramów wagi profesora, czyste mięśnie, zatrzymały się w miejscu. Rozpędzony reporter uderzył w to wielkie ciało tak, jakby uderzył w ścianę, i oszołomiony osunął się na posadzkę. Operator dobiegł w momencie, kiedy profesor pochylał się nad twarzą reportera, leżącą na bucie jego prawej nogi. Czułe mikrofony kilku stacji wychwyciły wygłoszone półgłosem zdanie: „Nie całuj mnie po butach, pocałuj mnie w dupę”.

Telewizja państwowa od popołudnia w swoich serwisach informacyjnych prezentowała tę dramatyczną scenę, zastępując ostatnie słowo wypowiedzi profesora wymownym „piiiiiiiiiiiii”. Podobnie postąpił Polsat, początkowo także TVN, aż do godziny osiemnastej, kiedy to prowadzący program „Tak jest” zaprezentował pełną wypowiedź profesora, wyjaśniając gościom, że nie widzi powodu do cenzurowania, ponieważ wielki reportażysta Melchior Wańkowicz już dawno wprowadził słowo dupa do języka literackiego. Być może ośmielona tym prowadząca „Kropkę nad i” oświadczyła, że określanie niekiedy tej części ciała, o której bezpruderyjnie wspomniał profesor, słowami „tam, gdzie plecy tracą swoją szlachetną nazwę”, uważa za niemądre, ponieważ dupa może być równie szlachetna i piękna jak plecy i każda inna część ludzkiego ciała. Jej wypowiedź natychmiast została zgłoszona do Rady Etyki Mediów i miała zostać rozpatrzona zaraz po weekendzie.

Osiem godzin wcześniej, w południe, atakowany ze wszystkich stron minister kultury wydał oświadczenie, że opinii dotyczących złotych monet było w sumie sześć, cztery jednoznacznie stwierdzały, że denary były fałszywką, ewidentną, celową mistyfikacją, a te dwie odosobnione opinie, cytowane przez wiadomą gazetę, z pominięciem czterech zdań przeciwnych, były świadomą manipulacją redakcji. Minister zapowiedział zaprezentowanie wszystkich opinii w Sejmie w czasie wieczornej uroczystej sesji parlamentu. Godzinę później grupa osób obrzuciła kamieniami budynek, w którym mieściła się redakcja „Gazety Wyborczej”, ale protestujących było zbyt mało, aby mogli wdrzeć się do siedziby redakcji. Od rana nieuchwytny był redaktor naczelny gazety, który nie odbierał telefonów i nie odpowiadał na liczne maile i esemesy. Jerzy Urban, którego dziennikarze przyłapali w sądzie, gdzie właśnie wygrał kolejny proces o obrazę uczuć religijnych, pytany, czy wie, gdzie aktualnie przebywa Michnik, odparł, że nie jest przyzwyczajony do mijania się z prawdą i w związku z tym odmawia odpowiedzi na pytanie.

Wieczorne posiedzenie Sejmu zdominowało początkowo wystąpienie ministra edukacji, oburzonego faktem, że kształceniem studentów szacownej krakowskiej uczelni zajmuje się ktoś taki jak profesor Stefan Wieczorek, człowiek, jak widać, ewidentnie pozbawiony kultury osobistej („To nie kultura, to kuweta!” – poparła go jedna z posłanek z prawej strony sali), ale *clou* wieczoru stała się wypowiedź ministra kultury i prezentacja wszystkich opinii, dotyczących denarów, w tym czterech nieznanymi dotychczas; wszystkie były podpisane nazwiskami uczonych, profesorów doktorów habilitowanych. Występujący *ad vocem* poseł opozycji stwierdził, że te nowe cztery opinie, przedstawione przez pana ministra, podejrzanie pachną świeżą farbą, a co do tytułów i stopni naukowych, mających świadczyć o ich wartości, to warto pamiętać, że profesorowie, jak wiadomo, dzielą się na zwyczajnych, nadzwyczajnych i nienadzwyczajnych. Gargantuicznej postury posłanka, skądinąd dr hab., przerwała na moment spożywanie buły wypełnionej mięsem i warzywami i widowiskowo postukała się w czoło, co zostało zauważone przez posła opozycji i skomentowane słowami: „Proszę nie walić się w łeb, kiedy do pani mówię”. Po wystąpieniu ministra i tym incydencie prawa strona sali powstała i odśpiewała „Rotę”, a potem „Boże, coś Polskę”.

Po raz pierwszy hasło odkryto wczesnym rankiem 11 listopada w Łodzi, było mażnięte sprayem na ścianie kamienicy przy Piotrkowskiej. Później pojawiło się w Kielcach, w Lublinie i w Kaliszu, kilka ognisk ujawniono też na Podkarpaciu i na Ścianie Wschodniej. Ale nie było tego dużo i postawione w stan gotowości służby szybko poradziły sobie z zamalowywaniem bazgrołów. Sprawców napisu w Łodzi zidentyfikowano jeszcze przed południem dzięki monitoringowi i zatrzymano na czterdzieści osiem godzin pod zarzutem niszczenia mienia publicznego. Na plagę tego, co wylewało się w mediach społecznościowych, w Internecie, nic nie można było poradzić, rejestrowano jedynie autorów najbardziej agresywnych memów i postów, odkładając reakcję na później.

W dniu święta starzec obudził się wcześniej, krótko po dziesiątej. Był niewyspany, a po wczorajszej miesięcznicy trochę przeziębiony, nie miał apetytu i kolano łupało go przy każdym ruchu. Na dwunastą zawieziono go w kolumnie czterech aut – radiowóz z mundurowymi, dwie limuzyny z ochroną w środku i szybki wóz z policjantami w cywilu w ariergardzie – na mszę do prowadzonego przez ojców redemptorystów kościoła rektoralnego św. Benona na Nowym Mieście. Po mszy, w towarzystwie grupy paru najwierniejszych towarzyszy, zwanej Zakonem, złożył kwiaty pod pomnikami – kardynała Stefana Wyszyńskiego przy Krakowskim Przedmieściu, Wojciecha Korfanteo przy placu Na Rozdrożu i Wincentego Witosa na placu Trzech Krzyży. Najważniejsze zostawił na koniec – pomnik marszałka Józefa Piłsudskiego przy Belwederze oraz śp. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego przy Dowództwie Garnizonu Warszawa. Krótko po trzynastej był w swoim gabinecie w siedzibie partii na Nowogrodzkiej.

Pochód jeszcze nie ruszył. Kilka stacji pokazywało formujące się czoło pochodu i tłum zbierający się na rondzie Dmowskiego i oczekujący na wymarsz. Policja od paru lat nie upubliczniła własnych ocen dotyczących liczby uczestników wszelkich demonstracji, aby uniknąć konfliktu z organizatorami, którzy z reguły uważali policyjne szacunki za drastycznie zaniżone i podawali własne, znacząco różniące się od oficjalnych, ale obraz z drona jednej ze stacji pozwalał obiektywnie ocenić liczbę zgromadzonych na rondzie na przynajmniej sto tysięcy uczestników. Spodziewano się, że kilkadziesiąt tysięcy osób, które zjeżdżały tego dnia z całego kraju do Warszawy, aby uczestniczyć w marszu, dołączy do demonstracji gdzieś na trasie pochodu. Transmisje telewizyjne z marszu, przekaz ciągły, miały zacząć się od piętnastej, ale wszystkie stacje trwały w gotowości, na wypadek jakichś niespodziewanych, spektakularnych zdarzeń, których można się było spodziewać w każdym momencie. Rondo Romana Dmowskiego, ze względu na światopoglądowy i polityczny genotyp patrona, z jego antysemityzmem i nacjonalistycznymi fascynacjami, było doskonałym miejscem na rozpętanie spodziewanej awantury, ale nie stało się nic i pochód, w łopocie biało-czerwonych flag, ruszył uroczyście parę minut po trzynastej.

Starzec obserwował na ekranach trzech telewizorów przygotowania, a potem wymarsz demonstrantów. Członkowie Zakonu, którzy mu towarzyszyli, podzielali jego ostrożny optymizm. Rozmowy, które prowadzono z organizatorami marszu, zakończone późną nocą, przyniosły ostatecznie porozumienie i pożądaną spójność, i to nawet za śmiesznie niską cenę. Na tym etapie nic raczej nie powinno się wydarzyć, sytuacja zdawała się być pod kontrolą, przynajmniej na razie.

Prawdziwą niewiadomą stanowili ultrasi, słabo rozpracowani przez służby. Było ich kilkuset, i w pochodzie, który szedł całą szerokością dwujezdniowej ulicy, prawie ginęli w tłumie. Ale to nie były jakieś krakowskie „miśki”, napakowane sterydami „karki”, odważne

w stadzie, a po zatrzymaniu gotowe sypać jak choinki po świętach. To byli ludzie zaprawieni w bojach i nieobliczalni, a wokół był tłum, który można było podpalić jedną iskrą, jednym rzuconym w odpowiednim momencie hasłem czy wezwaniem. Ultrasi byli niepokojąco spokojni, maszerowali zgodnie i zdyscyplinowanie w kolumnie, poprzedzani przez kilkutyśięczną rzeszę członków i sympatyków stowarzyszeń, organizujących marsz, wnosząc te same hasła, co wszyscy: „Czołem Wielkiej Polsce!”, „Bóg, Honor, Ojczyzna!”, „Polska dla polskich Polaków!”. Starzec czuł, że coś się święci, coś wisi w powietrzu, ale nie potrafił doprecyzować przeczucia.

Kwadrans przed czternastą wysłano dwóch ochroniarzy do baru „Farszem Nadziane”, położonego kilkadziesiąt metrów od Nowogrodzkiej, po obiad dla starca. Był w połowie golonki z ziemniakami, z chrzanem i z zasmażaną kapustą (nie jadł śniadania i tego dnia wyjątkowo zrezygnował ze schabowego z kiszonym ogórkiem czy buraczkami), kiedy czoło kolumny dochodziło do ronda de Goullé'a. Teraz już przekaz telewizyjny był ciągły, prowadzony z kilku kamer. Starzec przyglądał się demonstrantom, maszerującym w pierwszym szeregu. Na ekranie środkowego telewizora, z relacją TVP, pokazało się zbliżenie twarzy przywódcy marszu i starzec zatrzymał na niej wzrok: mały, prawie rachityczny podbródek, długi, wąski nos, kość czołowa ścięta do tyłu, tak jakby pod tą czaszką nie przewidziano miejsca na płyty czołowe. Podnosił kolejny kęs mięsa do ust, kiedy podsunęto mu telefon: „Jojo”.

Mister Spraw Wewnętrznych meldował, że wszystko jest w porządku. Z kilkoma drobnymi incydentami, które miały miejsce, szybko poradziła sobie straż pochodu. Wszystko wskazywało na to, że organizatorzy marszu panują nad jego przebiegiem. Oddziały prewencji na wszelki wypadek czekały w podwórkach na trasie przemarszu demonstracji, ukryte, aby nie prowokować uczestników. Ale minister raczej nie spodziewał się niespodzianek, organizatorzy przestrzegali zawartego nocą porozumienia, mieli kontrolę nad sytuacją, powinno być dobrze.

A jednak coś było nie tak, coś się działo i wyostrzone zmysły starca wychwyciły to coś, tę niewielką zmianę w rytmie pochodu. Przed rondem de Goullé'a w kolumnie niespodziewanie powstała kilkunastometrowa przerwa. Wyglądało to tak, jakby coś na moment przyhamowało ultrasów, jakby przez chwilę zwolnili kroku, a potem nie próbowali nadgonić, wyraźnie nie spieszyli się ze zlikwidowaniem tej wolnej przestrzeni. Mijali rondo, kiedy ze schodów przed budynkiem giełdy zbiegło kilkadziesiąt osób i wcisnęło się w tę niezasklepioną przerwę w pochodzie i wymieszało z ultrasami. To właśnie ci nowi przynieśli dwa spore pakunki, które wyglądały jak zrolowane dywany. Rozwinięto je niezwłocznie, jeszcze przed dojściem do Muzeum Narodowego, skądś pojawiły się długie, teleskopowe żerdzie. To była przemyślana, dobrze przygotowana, przećwiczona i sprawnie przeprowadzona akcja.

Oba transparenty wykwitły nad kolumną pochodu niemal jednocześnie. Najpierw ten z przodu, po kilkunastu sekundach pojawił się nad tłumem drugi, parę metrów za pierwszym i o metr wyższy. Hiperrealistyczne zdjęcie złotej monety, awers po lewej i rewers po prawej, ustawione obok siebie. Na awersie wizerunek księcia i w otoku MISICO DUX, rewers przedstawiał sześcioramienną gwiazdę Dawida. To były te same zdjęcia, które dzień wcześniej publikowała „Gazeta Wyborcza”. Skopiowano je i zapewne obrobiono, przepuszczono przez jakieś filtry, aby uwypuklić detale, wyjaskrawić szczegóły rysunku heksagramu. Drugi transparent, niesiony na czterech tyczkach, rozciągnięty na całą szerokość dwujezdniowej ulicy, przedstawiał napis, to hasło, które po raz pierwszy pojawiło się w Łodzi, a od rana rozpleniało się w Internecie:

DYNASTIA PIASTÓW TO ŻYDZI, CAŁA POLSKA SIĘ WSTYDZI!

Starzec obserwował tę scenę na ekranach dwóch telewizorów. Środkowy, ten z relacją TVP, nadal pokazywał czoło pochodu, przywódców stowarzyszeń organizujących marsz, statecznie kroczących z biało-czerwonymi flagami w dłoniach, ale na tych dwóch skrajnych mógł zobaczyć, jak z tylnych szeregów kilkutysięcznej grupy, otwierającej pochód, zaczyna przedzierać się w stronę ultrasów kilkunastu postawnych, zamaskowanych mężczyzn. Zbliżenie z jednej z kamer pokazało ich dokładnie: w prawych dłoniach teleskopowe batony, w lewych pojemniki z gazem. To byli tajniacy, policjanci w cywilu, przewidująco umieszczeni na taką okazję wśród demonstrantów.

Ale ultrasi przewidzieli ten manewr. Ci, którzy nieśli drzewca transparentów, zostali natychmiast otoczeni ochronnymi kordonami towarzyszy, niby dawni chorążowie na polach bitewnych. I ta ochrona, podobnie jak tajniacy, ale znacznie od nich liczniejsza i zdeterminowana, też była uzbrojona w teleskopowe pałki i w pojemniki z gazem na psy. To wystarczyło, zdekonspirowani tajniacy pozostali w pochodzie, w kolumnie, w której szli. Byli skonsternowani i niepewni, trzymali się razem; starzec widział, jak ich przywódca przyciska palcem słuchawkę w uchu i mówi coś do mikrofonu, wpiętego w kołnierz: potrzebował instrukcji. Ale naprawdę interesująca była postawa ultrasów: nie szukali burdy, nie ruszyli w stronę „psów”, jak zazwyczaj, tym razem nie to było ich celem. To byli ludzie idei. Maszerowali skupieni wokół transparentów, które płynęły nad ulicą. Ochroniali je, osłaniali, bo one mówiły to, co władza chciała ukryć. Wstydzili się tej prawdy, którą nieśli na transparentach, ale gotowi byli zmierzyć się z nią. Chcieli żyć w prawdzie.

Wciąż trzymał telefon przy uchu i ciągle słyszał w nim przyspieszony oddech ministra. Ten też czekał na instrukcje, podobnie jak ci z batonami w kolumnie. Na ekranach dwóch skrajnych telewizorów starzec obserwował spektakl, rozgrywający się na warszawskiej ulicy, ten telewizyjny przekaz, który szedł w świat. Za późno było na reakcję, na wyciąganie oddziałów prewencji z podwórek. To już nie było jakieś tam obrzucenie petardami rosyjskiej ambasady czy sponiewieranie paru kobiet z mostu. Te obrazki pokażą telewizje na świecie. Pozamiatane. „Jojo, ty...” – pomyślał starzec. Ale zmełł przekleństwo, przerwał tę myśl, kiedy nieoczekiwanie coś zaczęło dziać się w kolumnie. Najpierw ożyły chodniki, te gęste szpalery bezimiennych, spragnionych widowiska obserwatorów, oczekujących na show. Większość z nich tylko po to przyszła: obserwować spektakl, rozerwać się. Ale kiedy transparenty ultrasów wystrzeliły w górę, kiedy nad ulicą rozbłysnął wizerunek złotego denara, awers i rewers, i górujące nad nim hasło, teraz dodatkowo skandowane – DYNASTIA PIASTÓW TO ŻYDZI, CAŁA POLSKA SIĘ WSTYDZI! – tłum obserwujący pochód zakołysał się. Szpalery ruszyły na jezdnię. Zakotłowało się w szeregach ultrasów, zaskoczonych niespodziewanym atakiem i zaciekłością napastników. Ci z chodników, widzowie, ta bezimienna, głodna spektaklu masa, też byli ludźmi idei, walczącymi o prawdę. Wiele mogli znieść, ale to już było dla nich za dużo. Transparenty zachwiały się nad ulicą i w mgnieniu oka padły, rozerwane na strzępy, a żerdzie, na których je niesiono, zostały połamane na grzbietach pierzchających w popłochu ultrasów. „Polska dla polskich Polaków!” – niosło się nad ulicą. – „Polska dla polskich Polaków!”. Starzec patrzył z podziwem na te sceny, na przebudzenie ulicy. Na wszystkich trzech telewizorach szedł teraz ten sam przekaz, choć z różnych kamer, także TVP pokazywała to samo, ten pogrom zdrajców, idealnie wstrzeliła się z obrazem, tak jakby Kura osobiście reżyserował transmisję.

A potem zabrzmiała „Rota”, jeden olbrzymi głos wyrwał się z wielu piersi, potężny: *Nie rzucim ziemi, skąd nasz ród, nie damy pogrześć mowy! Polski my naród, polski lud, królewski szczep piastowy!* Zbliżenia kamer pokazywały rozpalone twarze, łzy w oczach, łzy spływające po policzkach ludzi, którzy jeszcze parę minut temu byli tu tylko po to, aby patrzeć, a teraz w natchnieniu śpiewali tę wielką pieśń, która już tyle razy dodawała Polakom sił w chwilach próby, tyle razy pomogła przetrwać. *Nie damy, by nas gnębił wróg! Tak nam dopomóż Bóg! Tak nam dopomóż Bóg!*

„Szefie...” – starzec usłyszał w komórce głos ministra. Wciąż trzymał telefon przy uchu. – „Szefie, czy widzimy to samo?”. Przez chwilę milczał. „Naród, Jojo!” – powiedział. Naród sam poradził sobie z tą zdradą, obronił swoją godność, nie pozwolił się zhańbić. Sól tej ziemi. Naród!

Profesor Piotr Mamiński od lat nie czytał codziennych gazet, nie tracił na to czasu, wszystko, co ważne, było w sieci. Tego ranka nie sposób było nie zauważyć sensacyjnej informacji, którą zamieściła „Gazeta Wyborcza”: powiełały ją wszystkie serwisy, do których miał dostęp i od przejrzania których zaczynał dzień. W tekście wymieniano go, wspomniano o nim jako o osobie badającej stanowisko, na którym znaleziono denary, ale gazeta nie kontaktowała się z nim, bo wszystko, co mógł wniesć do sprawy, znajdowało się już w publikacjach. Było to zresztą nieistotne. Ważny był rewers, zdjęcia obu stron monety, które zamieściła gazeta. Rewers przyniósł sensację.

Heksagramy, przedstawione na numizmatach znajdowanych w Polsce, nie były czymś niezwykłym, występowały czasem na monetach hebrajskich, które napływały do Polski wraz z żydowskimi kupcami niewolników, przybywających tu z Bliskiego Wschodu i z Półwyspu Iberyjskiego. Ba, nawet jeden z Piastów, Mieszko III, syn Bolesława Krzywoustego, w ostatnich dekadach XII wieku obok monet łańskich bił też brakteaty opatrzone legendami w języku hebrajskim, co było ewenementem w Europie i dowodziło wyjątkowo silnej pozycji Żydów na dworze książęcym. Ale to były litery, nie gwiazda Dawida. Jednorazowy incydent.

Profesor Mamiński znał i szanował obu profesorów, których opinie zaprezentowano w gazecie. Obaj byli wybitnymi mediewistami i ich ocenie można było zaufać. Te cztery odrębne zdania, przedstawione wieczorem w Sejmie przez ministra kultury, tylko utwierdziły go w pierwotnym przekonaniu. Złote denary, których zdjęcie, tylko awers, przysłał mu kilkanaście miesięcy wcześniej jakiś nieznany korespondent, zapewne znalazca skarbu, nie były fałszywkami, to były oryginalne, dziesięciowieczne pieniądze Mieszka. Z heksagramem na rewersie.

Profesor wstał od biurka i stanął przy oknie, z którego mógł teraz, kiedy liście dzikiego wina nie zasłaniały widoku, zobaczyć osoby odwiedzające księgarnię na rogu ulic Na Piaskach i Bielańskiej, i dłuższy odcinek Kanału Raduni, po ostatnich deszczach wypełniony mętną, błotnistą wodą. Druga dekada listopada przyniosła ciepłą, wyżową pogodę ze słabym zachodnim wiatrem, ludzie przechodzący w obie strony mostem nad kanałem, w stronę Domu Prasy albo w kierunku dworca, nosili lekkie, jesienne kurtki. Profesor uchylił okno, aby wpuścić trochę świeżego powietrza do gabinetu i wrócił do biurka. Było coś, co nie dawało mu spokoju. Stara sprawa. Jakaś publikacja sprzed lat...

Sprawdził zawartość biblioteczki w gabinecie, tych kilkadziesiąt podstawowych książek, które lubił mieć zawsze pod ręką. Nic. Przyjrzał się grzbietom branżowych czaso-

pism, równo ustawionych na półkach: „Historia Slavorum Occidentis”, „Materiały Starożytne i Wczesnośredniowieczne”, „Czas Przeszły. Poznańskie Studia Historyczne”, „Acta Poloniae Historica”, „Pomorania Antiqua”, „Res Historica”, „Rocznik Biblioteki Naukowej PAU i PAN w Krakowie”...

To, czego szukał, leżało przykurzone na szafie pomiędzy rozprawami doktorskimi i oprawionymi w twarde okładki pracami magisterskimi z ostatnich kilku lat. Spora objętościowo książka, Marek Krzyworzeka – *Pieniądze Piastów. Żydzi i handel słowiańskimi niewolnikami we wczesnym średniowieczu (IX-XI w.)*. Wydana w nakładzie 150 egzemplarzy, nakładem autora. Miała stanowić podstawę nadania stopnia doktora habilitowanego doktorowi Krzyworzece, ale recenzje dwóch spośród trzech członków Komisji habilitacyjnej, wyznaczonych przez Centralną Komisję ds. Stopni i Tytułów, były druzgocące dla habilitanta.

Profesor zdmuchnął kurz z okładki i otworzył książkę. Pod tylną stroną okładki była kopia jego własnej recenzji, dziewięć złożonych wpół kartek, jednostronnie zadrukowanych drobną czcionką. Teraz przypominał sobie, że był jedynym recenzentem, który wyłamał się z tego hejtu, z tej nagonki na dra Krzyworzekę i jego pracę. Rozprawa niosła śmiałą tezę, mającą wyjaśnić pochodzenie „kapitału zakładowego” powstającego państwa Piastów domniemanym faktem uczestnictwa rodu Mieszka w intratnym handlu niewolnikami. Środki, które trzeba było mieć na podporządkowanie sobie sąsiednich plemion, budowę grodów, na utrzymanie drużyny wojów (w tym skandynawskich najemników), urzędników i tak dalej, te tytułowe „pieniądze Piastów”, miały – według habilitanta – pochodzić właśnie z tego źródła. Słowianie zarabiali na eksporcie broni, siodeł, tkanin z lnu, skór i innych produktów leśnych, ale najbardziej intratnym źródłem dochodu był w tym czasie handel niewolnikami, głównie zresztą słowiańskimi. Handel tym „towarem” – produktem pierwszej potrzeby na Zachodzie i w krajach arabskich – znajdował się w rękach przedsiębiorczych i wcale licznych kupców żydowskich. Imiona Ibrahima ibn Jakuba, Chasdaja ibn Szapruta z Kordoby czy Beniamina z Tudeli znamy tylko dlatego, że pozostawili po sobie zapiski z wypraw na ziemie Słowian, skądinąd nie do przecenienia dla historyków. Czescy mediewiści obliczyli, że w tym czasie silnego mężczyznę w krajach słowiańskich można było kupić za 1,5 grzywny, co stanowiło równowartość trzystu gramów srebra, ceny dziewcząt zaczynały się od jednej grzywny, choć ładniejsze były zapewne znacznie droższe. W Bizancjum i krajach arabskich uzyskiwało się wielokrotność tych cen. Na przykład sprzedaż w Konstantynopolu niewolników zakupionych w Pradze czy nad Wisłą przynosiła blisko trzysta procent zysku, a doprowadzenie ich do Katalonii (co zajmowało około czterech miesięcy i wiązało się oczywiście z kosztami podróży oraz z pewnymi stratami w drodze) i sprzedaż na granicy z arabską Hiszpanią, dawało przebicie grubo ponad tysiąc procent. To, co było źródłem bogactwa żydowskich kupców, stało się też podstawą lukratywnych dochodów co obrotniejszych władców słowiańskich, którzy potrafili obejść się bez pośredników. Zdaniem dra Krzyworzeki, Mieszko wywodził się z takiego właśnie rodu, albo wręcz z rodu handlarzy, niekoniecznie słowiańskich.

Profesor Mamiński zamknął książkę i odłożył kartki recenzji. Przypominał sobie teraz, że miał problem z wyważeniem własnej opinii. Z jednej strony wnioski habilitanta uważał za zbyt śmiałe, zbyt daleko idące, z drugiej – dobrze znał dwóch pozostałych recenzentów, ich nastawienie i dyspozycyjność. To były dwie miernoty naukowe. Napisał recenzję powściągliwie pozytywną, podkreślając konieczność ostrożnego wnioskowania w nauce, której być może trochę zabrakło habilitantowi, a jednocześnie doceniając śmiałość jego

myśli, intelektualną odwagę i nowatorstwo koncepcji młodego badacza. W końcu nadal nikt nie wiedział, kim był Mieszko i skąd się wziął na kartach historii, a środki, ten „kapitał założycielski”, którym się posłużył, organizując autonomiczne plemiona i rody w organizm państwowy, jakoś trzeba było zgromadzić. Handel słowiańskimi niewolnikami był bez wątpienia najlepszym do tego sposobem, niezależnie od tego, czy Mieszko był Słowianinem, Skandynawem, czy może nawet przedstawicielem któregoś z plemion germańskich (w końcu do myślenia dawał fakt, że tak pozytywnie pisał o nim Thietmar z Merseburga w swojej *Kronice*, datowanej na koniec drugiej dekady XI wieku).

A teraz pentagram, bity na rewersie mieszkowej monety, całkowicie zmieniał sytuację. Teraz okazywało się, że dr Krzyworzeka był nawet zbyt powściągliwy w formułowaniu wniosków, choć – trzeba przyznać – ostrożnie dopuszczał możliwość, iż Mieszko wywodził się z bogatego rodu kupców, nie przesądzając jego pochodzenia etnicznego. Ta sześcioramenna gwiazda na rewersie mieszkowego denara była rozstrzygająca, nie pozostawiała pola do dyskusji.

Nazajutrz, w piątek, profesor obserwował powoli narastającą w sieci histerię, związaną z odkryciem. Te transparenty, które pojawiły się w kolumnie Marszu Niepodległości na Alejach Jerozolimskich, gdzieś między rondem de Gualle'a a Muzeum Narodowym, zdjęcia obu stron mieszkowego denara i to hasło, niesione w pochodzie, były brutalną demonstracją oczywistych wniosków, które nasuwały się same. Reakcja ulicy miała zapewne znaczenie polityczne, politycy bez wątpienia zechcą ją wykorzystać, ale niczego nie zmieniała, jeśli chodzi o naukową wartość odkrycia.

Profesor uświadomił sobie, że od lat nie zetknął się z nazwiskiem dra Krzyworzeki. To było zastanawiające. Jeśli odszedł z nauki, co było prawdopodobne, to mógł nawet nie wiedzieć o odkryciu denarów Mieszka. Ale można było łatwo sprawdzić, co się z nim dzieje. Profesor wywołał portal „Nauka Polska”, w „Bazie danych” kliknął na zakładkę „Ludzie nauki”, wpisał do odpowiednich rubryk imię, nazwisko, płeć i stopień naukowy, kliknął na „Wyszukaj” i miał wynik: dr Marek Piotr Krzyworzeka, klasyfikacja KBN: archeology. Kliknął na nazwisko i uzyskał więcej szczegółów dotyczących doktoratu. Dziedzina: nauki humanistyczne, dyscyplina: archeologia; data uzyskania stopnia: 25/06/2004; tytuł pracy: brak tytułu; instytucja: Polska Akademia Nauk, Instytut Prahistorii Słowian. Niżej była rubryka „Zatrudnienie”, podzielona na dwie podrubryki: „Aktualne” i „Historyczne”. W „Aktualne” nie było nic, w „Historyczne” była informacja: adiunkt, Polska Akademia Nauk, Instytut Prahistorii Słowian. To było wszystko, co można było uzyskać z tego źródła.

W Googlach było więcej, ale najświeższe informacje pochodziły sprzed prawie dziesięciu lat. Oprócz jednej: przed dwoma laty w Hiszpanii pojawiła się książka Marka Krzyworzeki – *Alfonso X El Sabio (1221-1284)*, wydawnictwo Universidad Rey Juan Carlos w Madrycie, a zaledwie parę tygodni temu książka miała premierę w Polsce, ukazała się nakładem Instytutu Cervantesa w Warszawie i nosiła tytuł *Alfons X Mądry. Król poeta (1221-1284)*.

Dopiero po weekendzie, w poniedziałek (media pełne były relacji, komentarzy i opinii dotyczących tego, co wydarzyło się na piątkowym Marszu Niepodległości w Warszawie, a także politycznych prognoz, dotyczących możliwych międzynarodowych konsekwencji odkrycia), profesor mógł zadzwonić do Instytutu Prahistorii Słowian PAN na Żabim Kruku i zapytać o dra Krzyworzekę. Dyrektor instytutu, niespełna czterdziestoletni profesor Jarosław Matuszczak, pamiętał, że dr Krzyworzeka odszedł z pracy krótko po tej habilitacyjnej porażce, ale stało się to jeszcze za czasów poprzedniego kierownictwa, kiedy

aktualny dyrektor był zaledwie adiunktem. Profesor obiecał popytać wśród starszych pracowników i pół godziny później oddzwonił z informacją, że nikt nie zna losów dra Krzyworzeki, nikt nie ma z nim kontaktu.

Profesor Mamiński wrócił do własnych spraw. Ale, chcąc nie chcąc, śledził to, co działo się w mediach, od tego nie dało się uciec. Górę brała narracja prawicy, pravicowi posłowie walczyli o lepsze z pravicowymi dziennikarzami w „dojeżdżaniu” „Gazety Wyborczej” („Im się wszystko kojarzy z...”), prorządowe media obficie i z atencją cytowały opinie czterech ekspertów, negujących oryginalność mieszkowego denara, i ściagały się w deprecjonowaniu odrębnych opinii obu profesorów Wieczorków. Spore emocje budziło pytanie o źródło przecieku. W jaki sposób, za czyją przyczyną, wypłynęły te dwie opinie, a także zdjęcia obu stron denara? Czy winne było Ministerstwo Kultury, jakaś wtyka czy sprzedawczyk z ministerstwa, czy może była to sprawka samych opiniotwórców? Atakowana ze wszystkich stron redakcja gazety odpowiedziała po dwóch dniach, w środę, dużym artykułem, ilustrowanym zdjęciami stanowiska, z wyłaniającymi się z błota złotymi denarami, których było co najmniej kilkadziesiąt, jeśli nie grubo więcej, i z wybitym tłustą czcionką tytułem: „GDZIE JEST ZŁOTO?”. To było dobre pytanie i profesor Mamiński sam chętnie poznałby na nie odpowiedź. Gdzie podział się skarb, gdzie były monety? Gazeta walczyła z próbą zafałszowania historii i profesor nie mógł stać z boku. Zresztą dotyczyło go to osobiście i to nawet podwójnie: jako osoby, której ktoś przysłał pierwsze informacje o znalezisku, wiążąc tym samym jego nazwisko z odkryciem, i jako autora pozytywnej recenzji rozprawy habilitacyjnej dra Marka Krzyworzeki.

Zamierzał początkowo skontaktować się z warszawską redakcją gazety, dziennikarze najwyraźniej nie wiedzieli o istnieniu tej niemal wizjonerskiej, powstałej prawie dekadę temu rozprawy habilitacyjnej *Pieniądze Piastów. Żydzi i handel słowiańskimi niewolnikami we wczesnym średniowieczu (IX-XI w.)*, ale szybko zmienił zdanie. Pierwsza o znalezisku w starorzeczu pod Kwidzynom pisała, niemal dokładnie rok temu, „Gazeta Wyborcza Trójmiasto”, toteż uznał, że właściwym będzie przekazanie informacji miejscowej edycji dziennika. Przemawiał za tym także fakt, iż redakcja gdańskiego oddziału miała siedzibę na Żabim Kruku, parę kroków od Instytutu Prahistorii Słowian PAN, gdzie powstała praca dra Krzyworzeki. Zresztą – co Gdańsk, to Gdańsk. Temat był gorący i redaktor dyżurny, który odebrał telefon, gorąco dziękował za informację.

Piknęła komórka i siedzący przy zachodnim oknie w kamiennym domu na klifie mężczyzna zerknął na ekran leżącego obok komputera telefonu i sprawdził numer. Nie znał go, nie miał go w bazie danych. Rzadko odbierał telefony z nieznanymi numerami i teraz też pozwolił komórce wydzwonić się. Kiedy sygnał zanikł, jeszcze raz sprawdził numer, z którego dzwoniło. Jedenaście cyfr, 48 na początku: komórka. Mężczyzna spojrzął w okno.

Był czwartek, siedemnasty dzień listopada. Dochodziła osiemnasta, czerwona tarcza słońca prawie dotykała odległej linii horyzontu na oceanie. Trwał przypyływ, fale gwałtownie napierały na plażę u podnóża klifu. W odległości może mili od skał dwa wojenne okręty płynęły tym samym kursem i z tą samą prędkością na południe – współczesna hiszpańska fregata i majestatyczny portugalski żaglowiec, replika XVIII-wiecznego galeonu. Po chwili dziób szybkiego okrętu Armada Española uniósł się, kiedy zwiększono moc silników, i galeon pozostał w tyle.

Mężczyzna oderwał wzrok od okna i ponownie przyjrzał się telefonowi. Dotknął ikonki przedstawiającej słuchawkę, sygnalizującą jedno nieodebrane połączenie. Dzwoniono z Polski.

W ciągu tych siedmiu dni, które minęły od chwili ukazania się w „Gazecie Wyborczej” sensacyjnej informacji o złotym denarze Mieszka, regularnie śledził polskie serwisy informacyjne. Gazeta miała problem. Wprawdzie niewielu brało poważnie te cztery dodatkowe opinie, przedstawione w Sejmie przez ministra kultury (ich autorami byli profesoremie pierwszorzędnymi uczelni, ale traciło to na znaczeniu wobec świadomości, że nawet na UJ produkowano czasem doktorów, których wstydzili się potem promotorzy), ale te dwie opinie prof. prof. Stefana Wieczorka i Mieczysława Wieczorka, sporządzone na zlecenie ministra, pozyskane w jakiś sposób przez redakcję, i zdjęcia obu stron denara, których pochodzenia nie ujawniono, to było wszystko, czym dysponowała gazeta. Redakcja tą pierwszą publikacją opróżniła cały magazyn i teraz nie miała amunicji, aby kontratakować. Nie miała problemu prawnego, bo nikt nie kwestionował autentyczności obu cytowanych opinii, ale popełniła błąd taktyczny, wystrzelała się tą pierwszą serią, pozbawiając się możliwości odpowiedzenia kontratakiem na nietrudną do przewidzenia reakcję władzy. Było oczywiste, że nie miała monet.

Mężczyzna znów spojrzął w okno. Słońce zdążyło opaść za horyzont, ocean pociemniał, był teraz znacznie ciemniejszy niż stykające się z nim niebo, rozjaśnione jeszcze resztkami zanikającego światła. W miejscach, gdzie nad wodę wystawały szczyty zielonych skał, pełne kryjówek dla ryb, gwałtownie napierający przypyły wybijał fale w górę, tworząc parometrowe gejzery. Dwie hybrydowe łodzie *percebeiros*, każda z potężnym zaburtowym silnikiem na pawęży i z czteroosobową załogą na pokładzie, sternik i trzech poławiaczy w piankowych skafandrach, płynęły na północ w niewielkiej odległości od brzegu, kierując się do przystani w zatoce.

Pisnęła komórka i mężczyzna podniósł telefon z blatu biurka, spojrzął na ekran i dotknął ikonki esemesów. Pierwsze trzy linijki tekstu widoczne były nawet bez otwierania wiadomości. Została napisana po polsku, redaktor „Gazety Wyborczej” prosił go o odebranie telefonu, gazeta zamierzała przeprowadzić z nim wywiad. Znaleźli go.

Wstał od biurka, aby dołożyć drewna do kominka, kiedy telefon odezwał się znowu. Tym razem odebrał. A potem słuchał, z komórką przy uchu, milcząc cierpliwie, kiedy tamten mówił, tłumaczył, w czym rzecz. Po chwili spytał: – „Co znalezione? Pan mnie nabiera? Kiedy? Kto to wymyślił?”. Znowu czekał z komórką przy uchu, w końcu przerwał rozmówcy: – „Pan widział te monety? Słucham? Tylko zdjęcie?”. – Otworzył szufladę biurka i przyjrzał się złotym krążkom, dziewięćdziesięciu dwóm denarom spoczywającym na jej dnie, rozrzuconym beładnie, awers, rewers... Głos dziennikarza na chwilę zamilkł i mężczyzna powiedział: – „Nie wydaje mi się to poważne. Trudno mi w to uwierzyć. Nie, proszę nie przysyłać pytań. Nie mam zdania na ten temat. Choć właściwie... To na pewno nie jest żart?”.

Zasunął szufladę biurka i patrzył w czernią za oknem. Jutro o tej porze będzie dojeżdżał do domu z córką, którą odbierze z lotniska, dwa razy w miesiącu przylatywała z Madrytu na weekend. Przed zmrokiem zdążą jeszcze zajrzeć na przystań w zatoce i kupić trochę *percebes* prosto z łodzi. W *pescaderiach* w stolicy ich cena dochodziła do stu pięćdziesięciu, stu osiemdziesięciu euro za kilogram, ale od poławiaczy można je było kupić za pięćdziesiąt, czasem nawet taniej. A w sobotę popłyną na ryby. Gdzieś tam w ciemności, kilkadziesiąt metrów niżej, czaiły się pod wodą zielone skały.

Toruń, styczeń 2022 r.